Nr. 35 — Lwów — Piątek dnia 13 Lutego. — Rok 1903.

Wychodzi w dni powszednie o godzinie 5 po południu z datą dnia następnego.
Prenumerata z przesyłką pocztową wynosi: w kraju i Austryi miesięcz. 2 k. 20 h; w Niemczech „ 3 „ —; w innych Państwach „ 4 „ —. Za zmianę adresu dopłaca się 40 h.
Prenumerata we Lwowie miesięcznie 2 k.
Numer kosztuje we Lwowie 8 h, na prowincyi 12 h.
Numera z poprzednich dni po 20 h.

PRZEGLĄD

polityczny, społeczny i literacki.

Dziś: św. Katarzyny R. — Jutro: św. Walentego B. | Cyrusa i Jana, Tryfona M. | Adres Redakcyi i Administracyi Lwów, ul. Sykstuska l. 45. | Naczelny Redaktor i Wydawca: Ludwik Masłowski. | Wschód słońca o g. 7 m. 18, Zachód „ 5 m. 12 | Długość dnia godzin 9 minut 54, Przybyło dnia od wczoraj 3 min.

Karawełow.

W sześćdziesiątym trzecim roku życia zmarł w Sofii, w nocy z piątku na sobotę, człowiek, którego nazywano Rabagasem bułgarskim. Jak w komedyi Sardou książe Monaco powołuje do steru wodza spiskowców, aby go ubezwładnić, tak samo ks. Aleksander Battenberg, a po nim ks. Ferdynand Koburski stawiali na czele gabinetów Petka Karawełowa, aby odrabiał to, co nabroił jako wódz spiskowców. Widocznie obaj ci książęta wierzyli w trafność włoskiego przysłowia, które głosi, że najlepszym żandarmem jest bandyta, gdy się ustatkuje. Ale Karawełow nigdy się nie ustatkował. Jego żywiołem był spisek i w nim on działał zawsze jako niezrównany mistrz, a w jego ministeryalnych pracach tylko to było bardzo zręczne, szturmistrzowskie, w czem on sam sobie przeczył jako ministrowi. Można powiedzieć, że jedyną jego namiętnością było spiskowanie, a jeżeli oprócz tego jeszcze pielęgnował w swem sercu jakieś szczere uczucie, to chyba tylko do Rosyi. Bizantyńskie tradycye i bułgarska przebiegłość, wyrobiona pięciowiekową walką Bułgarów z Turkami, dały mu charakter, a przywiązał się do Rosyi, bo się w niej wychował i spędził nietylko całą młodość, ale także część męskiego wieku, gdyż dopiero w 36 ym roku życia przybył do Bułgaryi, jako ponurnik księcia Czerkasskiego, który z polecenia cara Aleksandra II organizował Bułgaryę, świeżo uwolnioną z tureckiego jarzma.

Karawełow — syn Stoicza Karawełowa, tureckiego „beglikczyego", czyli poborcy podatków, — urodził się w miasteczku Koprysztioy, na południowym stoku Bałkanów i nazwany z rówieśnikami pasał owce, dopóki nienawiść mieszkańców, a gniew władz tureckich za kradzież zebranych podatków nie zmusiły jego ojca do ucieczki z kraju. Znalazłszy się w Rosyi, stary Karawełow wnet się stał patryotą bułgarskim i przez Dragana Cankowa — również ciągłego urzędnika tureckiego — zbliżył się do Aksakowa i Katkowa, oraz do wszystkich moskiewskich słowianofilów. W tej atmosferze ciągłego spisku przeciw Turcyi wychowywał się młody Petko, chodząc równocześnie do gimnazyum i na uniwersytet, a kiedy następnie został profesorem gimnazyalnym w Połtawie, to już na własną rękę spiskował, jak to stwierdza jego rosyjski biograf Bessonow, który dodaje, że Aksakow i Katkow zalecili Karawełowa księciu Czerkasskiemu.

Tak tedy w r. 1876-ym zjawił się Karawełow w Bułgaryi i odrazu po zdobyciu przez Rosyan Widdynia został tamtejszym wicegubernatorem. W rok później, kiedy księciu Czerkasskiemu szło o to, aby sami Bułgarzy obalili projekt umiarkowanej konstytucyi z dwuizbowym parlamentem, a przyjęli konstytucyę radykalną, krępującą księcia Aleksandra Battenberga i wystawiającą kraj na ciągłe intrygi i stały nieład, Karawełow pozornie rozstał się z Czerkasskim, stanął na czele radykałów i przy ich pomocy przeprowadził tę tirnowską konstytucyę, której potajemnie chciał Czerkasski.

Za tym pierwszym spiskiem Karawełowa wnet nastąpił drugi w r. 1880-ym. Wówczas u steru stał Canków, który swemi łgarstwami tak zraził do siebie dyplomatycznych agentów mocarstw, że musiał ustąpić. Łgarstwa odbywały się na punkcie sprawy rumelijskiej, której mocarstwa nie chciały poruszać. Nie chciała tego również dyplomacya rosyjska z carem Aleksandrem II, a potem Aleksandrem III, ale chciała tego „nieurzędowa Rosya", zgromadzona w komitecie panslawistycznym, a Cankow spełniał jej życzenia, otrzymując wskazówki od rosyjskiego jenerała Ehrenrotha, naczelnego zarządcy armii bułgarskiej, który jednocześnie był tajnym prezesem komitetu panslawistycznego. Za radą Ehrenrotha książę powołał do steru Karawełowa, który oficyalnie miał tępić ruch rumelijski, w gruncie jednak rzeczy powinien go był podniecać i organizować. Tę drugą działalność rozwijał nader skutecznie, a z taką zręcznością, że na dworze petersburskim byli głęboko przekonani, iż to ks. Battenberg prowadzi grę dwulicową i tego przekonania już nic nie zmieniło, co doprowadziło do znanej katastrofy w sierpniu 1886 r., kiedy księcia wywieziono z Bułgaryi. Była jednak chwila, w której prawdziwi intryganci: Ehrenroth i Karawełow mogli być wykryci: w roku 1881-ym stambułowcy, którzy wówczas stali jeszcze pod komendą Radosławowa, wpadli na trop intrygi Karawełowa. Sobranie zaleca rozciągnąć nad prasą ostrą cenzurę. Książę Ehrenroth w obawie o siebie zrobił krok zuchwały: oświadczył księciu, że rząd petersburski zaleca mu rozpędzić sobranie, zawiesić konstytucyę i rządzić samodzielnie. Książę usłuchał, zamach stanu udał się, Karawełow był jednak zagrożony, że on sam się ratował od oskarżeń w sobraniu o dwulicowość! Karawełow otrzymał dymisyę, lecz jako ofiara książęcej intrygi, natychmiast był przez rząd rosyjski zaprotegowany na burmistrza rumelijskiej stolicy Filipopolu. Petersburg, który nie chciał połączenia Rumelii z Bułgaryą, posłał wilka na pasterza owiec! Wogóle cała ówczesna historya świadczy o tem, że panslawistyczny komitet był w owe lata silniejszy od księcia Gorczakowa i jego następcy Giersa.

W jakiś czas potem rdzenne stronnictwo Stambułowa wykryło intrygę Ehrenrotha. Przywrócono więc konstytucyę, zwołano sobranie, wypędzono Ehrenrotha i wszystkich rosyjskich oficerów, co znowu w Petersburgu zaszkodziło księciu. Tam postanowiono go obalić, więc on nie miał już wyboru, popłynął z prądem rumelijskim, przyjął znów Karawełowa na ministra, zajął Rumelię, stoczył wojnę z Serbią i zaraz potem był przez spiskowców wydany Rosyi. Dotąd nie wiadomo, jaki był udział Karawełowa w tym spisku. Książe tak mu ufał, że razem z Mutkurowem i Stambułowem zamianował go regentem, kiedy po nocnem wywiezieniu z kraju wrócił doń na dni parę, ale Stambułow tak był pewny udziału Karawełowa w intrydze i porwaniu, że wytoczył mu proces, który się skończył zasądzeniem Karawełowa na wieżę. Dopiero w r. 1894 ym po upadku Stambułowa następca jego Stoiłow wyrobił amnestyę dla wszystkich spiskowców na ks. Aleksandra i wtedy Karawełow wyszedł z więzienia, a Cankow wrócił z Rosyi.

Jak bywa w lichych powieściach, że osoby, które zginęły tragiczną śmiercią na początku opowiadania, znowu się pojawisją w ostatnim tomie, tak w r. 1901, w lutym, ks. Ferdynand wygrzebał z zapomnienia Karawełowa i postawił go na czele gabinetu, aby stłumił działalność komitetu macedońskiego. Tym razem spiskowiec nie mógł prowadzić gry podwójnej, bo Rosya i ks. Ferdynand chcieli jednego, a komitet panslawistyczny już jest bezsilny; nie znalazł więc Karawełow własnego żywiołu, czuł się ciągle podrażnionym i rzucił w sobraniu frazes o tem, że „nie było Bułgarów, nie było patryotyzmu bułgarskiego, wszystko to stworzyła Rosya" — tem oburzył na siebie wszystkich i musiał podać się do dymisyi.

Tu był koniec jego karyery. Od jesieni roku 1901-ego żył na przedmieściu Sofii w odosobnionem domostwie, zapomniany przez wszystkich, aż wreszcie skonał ten typowy Bizantyńczyk, który wcielał zdanie „Graeca fides — nulla fides".

X. Karol Antoniewicz.

Pod koniec ubiegłego roku obchodził w duchu i w myślach polski Kościół katolicki pięćdziesiątą rocznicę śmierci X. Karola Antoniewicza, jednego z najwybitniejszych kaznodziei polskich minionego stulecia. Postać to zaiste skrojona na miarę Fidyasza; warto ją więc przypomnieć dzisiejszemu pokoleniu, a jeżeli dotąd nie uczyniliśmy tego, to tylko z zupełnego braku miejsca.

Urodził się Karol Bołoz Antoniewicz we Lwowie r. 1807, z rodziny ormiańskiej, jako syn adwokata. Życie jego płynęło zrazu zwykłym torem. Ukończył szkoły we Lwowie, tu uczęszczał na prawa, odznaczało go tylko marzycielskie usposobienie i talent rymotwórczy. Ożenił się z bliską krewną i osiadł we wsi Skwarzawie, majątku matki, która owdowiawszy, wstąpiła do klasztoru Benedyktynek. I byłby może Antoniewicz został tylko zwyczajnym obywatelem ziemskim, gdyby Bóg nie był go nawiedził nadzwyczajnemi nieszczęściami, które jednak jego duszy nie złamały, lecz zahartowały ją, uszlachetniły, zamieniły żelazo na stal. Oto w krótkim czasie stracili państwo Antoniewiczowie pięcioro dziatek i zostali samotni — ale już wtedy mieli w domu szkółkę, w której oboje uczyli wiejskie dzieci, i szpital, który pani Antoniewiczowa obsługiwała. Wkrótce postanowili oboje wyrzec się dalszego pożycia małżeńskiego i poświęcić się służbie Bożej. Ale oto po raz szósty zawitała śmierć w ich dom, zabierając panią Antoniewiczową, która dopiero na łożu śmiertelnem złożyła śluby zakonne. W sześć tygodni po śmierci żony, ten człowiek majętny, niepodległy i w sile wieku, bo zaledwie przekroczył rok trzydziesty, zapukał do furty klasztornej OO. Jezuitów w Starej Wsi.

Odbył studya teologiczne i otrzymał święcenia kapłańskie, na krótko przedtem straciwszy jeszcze matkę. W r. 1845 zaczął zawód kaznodziejski, a chociaż ośm lat tylko w nim pracował, stanął w rzędzie pierwszych bojowników słowa Bożego w mowie i piśmie, kosztem wprawdzie swego zdrowia tak, że w końcu padł ofiarą swego powołania.

Rozpoczął swą działalność w czasie najgorętszym. W roku 1846 gubernator Galicyi, książę d'Este, udał się do prowincyała Jezuitów z prośbą, aby rozesłał Misyonarzy do najbardziej wzburzonych powiatów. To straszne żądanie przyjęto bez wahania. Straszne, bo od krwawych dni lutowych minęło zaledwie kilka tygodni, kiedy X. Antoniewicz i X. Skrocki wyruszyli ku Grybowu i Bobowej. Stamtąd na Ciężkowice, Lipnicę, Gromnik, przeszli aż za Tarnów ku Dębicy, czyli całe prawie pole owego krwawego żniwa.

Misyonarze idą śmiało i pomiędzy krwią bratnią ociekły lud, gotowi na śmierć, czy na powolne męczeństwo, ale tutaj, obok ludzkiego lęku, przejmował serce ich żal i zgroza, bo ci broczący krwią bratnią, to własny lud. Dla duszy X. Antoniewicza ból to był nieporównany: nieraz łzami więcej niż słowem przemawiał, nieraz gromił, a po wiele razy wskazywał ludowi z ambony wdowy i sieroty ofiar jego, które z tłumem zmieszane, szukały także w jego słowach jedynej dla siebie pociechy. Te dramaty grozy i żalu — któż opisze? Najśmielej przemawiał tam, gdzie mu zemstą grozili, bo w niejednej wiosce jeszcze wrzało, a dwór jeszcze się tlił jak niedopalone ognisko.

Siedm miesięcy zeszło na tej wytężającej ciało i duszę pracy. W każdem miejscu po 8 i 10 dni kazał, po 2 i 4 godziny dziennie, ucząc w przestankach katechizmu małe dzieci, i słuchając spowiedzi tłumnych, skruszonych, straszliwych, które do późnego przeciągały się wieczora. Te ogromne wysiłki zrujnowały zdrowie X. Antoniewicza, które odtąd ciągle niedomagało.

Warto dodać, że były to od dawnego czasu pierwsze kazania polskie wśród ludu małopolskiego, były to bowiem czasy największej germanizacyi i prześladowania języka polskiego.

Kiedy w roku 1848 wypędzono Zakon OO. Jezuitów z Galicyi, X. Antoniewicz przebywając już to w różnych zakątkach Galicyi, już to w Graefenbergu na Szląsku, oddał się pracy pisarskiej i pisał wspomnienia misyjne, kazania, wiersze, listy. Niektóre jego wiersze przyjęły się tak powszechnie, że dzisiaj są własnością niemal całego ogółu. Jego pisma teologiczne stoją na równi z pismami Jełowickiego, Kajsiewicza i Witwickiego, a w listach rozsypywał skarby uczucia i dowcipu.

Zniechęcony paroletniem tułactwem, zamierzał X. Antoniewicz za przykładem kilku współbraci szukać pracy we Francyi.

W tej myśli z Gräfenbergu ku Krakowu zdążał w lipcu 1850 roku, kiedy w drodze odebrał wieść o pożarze Krakowa. Gdy dojechał, miasto płonęło jeszcze i przez jakie 10 dni co noc prawie nowy alarm przerażał nieszczęśliwych mieszkańców. Chwila była straszna, bo ręce opadały, zdawało się, że z miasta nic nie pozostanie, i gdyby nie kilku ludzi wielkiego serca, gdyby nie płonąca wymowa X. Antoniewicza, to kto wie, czy byłaby się odwaga znalazła do pracy odbudowania tylu ulic, domów i kościołów.

X. Antoniewicz w tem nieszczęściu kraju widział dla siebie znak Boży: już o Francyi nie myślał i w Krakowie zamieszkawszy, spędził prawie rok na ciągłych kazaniach, misyach, naukach, których w listach po kilkadziesiąt na miesiąc notuje. „Czuję w sobie jakiś ogień święty — pisze w jednym z listów — którym chciałbym cały ten Kraków w sercu pomieścić i rozegrzać, a do Boga zaprowadzić.... Miałem dwa kazania grzmiące i długie, a piersi tak się spisały, żem nie ochrypł. O jakżeż Bóg dobry!"

Na dwie strony prowadził x. Antoniewicz odbudowanie Krakowa, nawołując do pracy i składek, ale podnosząc zarazem w duszach gmach wiary mocno nadpsuty. Najsilniejsze wrażenie zrobiło jego kazanie, wypowiedziane na gruzach dominikańskiego kościoła z pod drewnianego krzyża, który dotąd stoi blisko kruchty.

W r. 1852 wziął x. Antoniewicz udział w misyach na Szląsku, gdzie x. Fiecek, proboszcz w Piekarach, rozpoczął dzieło odrodzenia katolickiego wśród szląskiego ludu. Misye te podnosiły nietylko ducha ludu, ale i jego polskość. To też tłumami śpieszył lud polski na Szląsku do miejscowości, w których kazali misyonarze OO. Jezuici pod wodzą x. Antoniewicza. Zbawienny wpływ owych misyi chwalili swego czasu nawet Niemcy.

Z Piekar szli misyonarze do Tarnowskich gór, do Woźnik, Biskupic, Mysłowic, Ćwiklic, Pszczyny, Tożku i do Bytomia. W Nissie, gdzie bawili najdłużej, mieli już nawet swój domek; stamtąd pisał x. Antoniewicz: „Myślałem, że w Nissie wypocznę, ale widzę, że odpocznę chyba w Niebie".

Rzeczywiście była to przystań bardzo krótka. Zdarzyło się, że ówczesny arcybiskup gnieźnieński i poznański, Przyłuski, bawił we Wrocławiu, a zasłyszawszy o błogich skutkach misyi OO. Jezuitów na Szląsku, postanowił urządzić je u siebie. Tak więc Wielkopolska wyciągała ku misyonarzom swe ramiona, a x. Antoniewicz też rwał się do pracy wśród ludu rdzennie polskiego i przyjaciół, jakich pozyskał w Graefenbergu: Morawskich, Chłapowskich, Łubieńskich z Pudliszek, których dobra i serdeczna wola wszystko przygotowała i ułatwiła. Rozpoczęły się misye od wsi Krobii, potem były w Krzywiniu, Czerwonej wsi, Niechanowie, Raszkowie, Śremie, Pleszewie, Grodzisku, wszystko w Poznańskiem. Jednem z ostatnich miejsc pracy misyjnej był Kościan.

Rząd pruski, spostrzegłszy się zapóźno, jakie rozmiary przybierał ten prąd, który zrazu tolerował, — gdzie mógł, jak mógł, stawiał zapory, formalności, zakazy. Cóż mu się dziwić? Toć w Krakowie, dokąd x. Antoniewicz na kilka dni wypoczynku wśród pracy pojechał, wręczono mu nakaz natychmiastowego wyjazdu. Ale zapału ludu, a raczej zgodnie złączonych wszystkich stanów, nic powstrzymać nie mogło. Fale ludu, jak morze napływały dołem, a górą druga fala ciągle świeżej, równie gorącej wymowy zlewała potokami łaski skruszone serca i ukorzone głowy. W Obrze, w starym, po-cysterskim klasztorze już nawet naznaczono misyonarzom stałe mieszkanie. Wtem wybuchła cholera. Misye przerwano, ale każdy z misyonarzy od rana do nocy to jeździł do chorych, to spowiadał tłumnie cisnących się do każdego kościoła i z prostą wiarą polskiego chłopa na śmierć gotujących się ludzi.

X. Antoniewicz zachorował również na cholerę i umarł 14go listopada 1852 r. w Obrze, jak żołnierz na polu bitwy. Jeszcze przed śmiercią mówił do braci swoich: „Chciałbym się bać śmierci, ale nie mogę i nie umiem".

W obrzańskim kościele, gdzie jest nagrobek x. Antoniewicza z napisem łacińskim, poeta duchowny Franciszek Morawski taki dodał na kamieniu sześciowiersz polski, streszczający całe życie tego największego, najbardziej ukochanego misyonarza ludu polskiego:

Z krzyżem w ręku nad polskim górujący ludem
Starłeś go i podniosłeś słowa Twego cudem,
Krzepiłeś go w niedoli nadzieją i wiarą,
Dla niegoś żył jedynie i dlań padł ofiarą.
Dziś Cię szuka w Twym grobie, przez łzy widzi [w niebie
I modląc się za Tobą, modli i przez Ciebie!

Napis na marmurze wyryty pozostał dotąd niestarty, ale i w sercach Wielkopolan, Zachodnioprusaków i Górnoszlązaków pamięć tego Bożego sługi dotychczas świeżo żyje. Są jeszcze osoby, które były świadkami jego błogiej w owoce świątobliwej pracy, a niejedna z nich uważa go za świętego i całe życie nosi jak relikwię jaki list x. Antoniewicza lub jaką modlitwę napisaną przezeń umyślnie prozą lub wierszem.

Nawet Zygmunt Krasiński, choć go nie znał osobiście, opłakiwał go szczerze, a w liście do Stanisława Koźmiana, pisanym do Drezna, wyraża się tak o nim:

„Słup to był żywy, promienny chodzącej miłości! Takich nie ma już teraz!"

Sprawy parlamentarne.

(*Telegram „Przeglądu"*).

Wiedeń 12 lutego. W komisyi budżetowej oświadczył poseł K r a m a r z (Młodoczech), że głosować będzie przeciwko ustawie o konwer-

8)

Arnold Böcklin.

(Dokończenie).

W umyśle każdego oczytanego człowieka słowo „idyla" związane jest z pojęciem czegoś miękkiego, cichego, marzycielskiego — każdy też, stając wobec „Idyli morskiej" Böcklina, wobec tego dzikiego i ponurego obrazu, doznaje pewnego zdziwienia — rozczarowania. Jest to idyla przejmująca dreszczem!

Odpływający gdzieś w dal ocean zostawił na sterczącym pośród rozbryzganych pian fali głazie, jakieś dziwne i groźne postacie. To blade ciało Nereidy, pokryte morskimi porostami, pieszczącej się lubieżnie z olbrzymim, przepysznej zielonej barwy wężem, patrzącej nań wzrokiem namiętnym, zmysłowym — ten dziki Tryton, wynurzony z głębi dna tajemniczego, pokryty mułem, z pod którego prześwieca złota łuska, okrywająca jego lędźwie, trąbiący na konsze, gdzieś w mroczną dal wieczoru, w której bałwani się granatowy i groźny ocean, bramowany srebrnemi pianami; wszystko okryte cieniem zapadającej nocy i dziwną, doprowadzoną do ostatnich krańców doskonałości harmonią barw — harmonią tak doskonałą, że wrażenie estetyczne, które od niej się odbiera, przechodzi w uczucie prawie materyalnej rozkoszy. Oto „Idyla morska". Zamiast wiotkiej, różowej i jasnej dziewczynki, bawiącej się motylem wśród kwitnącej łąki w towarzystwie sentymentalnego chłopca — dzika i tajemnicza namiętność w silnem ciele Nereidy; zamiast motyla — wąż, a kochankiem — brodaty i rozczochrany tryton, zamiast cichej łąki brzęczącej owadami — ponury ryk ciemnej fali. Idyla strasznego i tajemniczego żywiołu, jakiem jest morze, którego najpowolniejszy ruch wypełnia powietrze groźnym szmerem, którego burzliwe, konwulsyjne szamotania rozlegają się rykiem, trzaskiem, wybuchami podobnymi do echa „stu gromów", którego powierzchnia zmienną jest jak nic na świecie, a głębia, tajemnicą bajki; którego strasznej siły najsłabszy przejaw jest zgubą człowieka. Idyla takiego żywiołu nie może być inną, jak w obrazie Böcklina.

Böcklin jest głębokim myślicielem — poetą, — jest to jego zaleta niezależna od geniusza malarza. „W sztuce, jak w moralności — powiada Renan — mówić jest niczem — czynić wszystkiem". Otóż Böcklin nie w podpisie tłumaczy ideę swoich obrazów, lecz swymi artystycznymi środkami zmusza widza do odczuwania takich wrażeń, jakie mu chce narzucić.

Böcklin transponuje kolor natury na najwyższy dostępny malarstwu ton; harmonizuje go w sposób bezprzykładny; przetapia farby na powietrze, skały, wodę, tak, że obraz jego robi zupełne wrażenie natury. Zdaje się, że ten świat fantastyczny jest w rzeczywistości — bo też dla wyobraźni Böcklina jest on rzeczywistym. Böcklin jest szczerze fantastycznym — nie udaje na zimno, nie nicuje form greckiej sztuki z erudycyą pedantycznego niemieckiego profesora; jeżeli się niemi posługuje, to dlatego, że wewnątrz swojej zagadkowej duszy żyje z niemi i obcuje.

Drugi obraz Böcklina, którego tytułu nie pamiętam: nad bagnami zarosłemi oczeretem, wśród którego płynie strumień i stoją wierzby, — przelatuje ciemną, porozrywaną błyskawicami chmurą, burza, kołysząc gałęzie drzew i chyląc badyle trzciny. Na ziemi leży trup, który zabójca obrabowuje — wszystko prawdziwe. Ale za strumykiem, na którym leży kładka, stoją trzy straszne, wstrętne wiedźmy — wyrzuty sumienia czy wogóle emblematy potworności i okropności zbrodni. Jedna z nich, na cienkich, jak patyki łydkach, z ogromną, napuchniętą twarzą, obwinięta wieńcem zielonych żmii — patrzy jakąś straszną, rozwartą, krwawą źrenicą; drugie, miotane gniewem, szamoce się, śmigając w ręku wężowymi biczami.

Znowu grecka forma: twarz meduzy — ale nie twarz meduzy z greckiej rzeźby, zamieniona w zimny i symetryczny ornament, tylko coś żywego, coś okropnego i wstrętnego. Obraz ten nie jest traktatem o moralności — tylko jest po malarsku wyrażonem obrzydzeniem, jakie zbrodnia w duszy artysty wzbudza. Natura piękna, figury ubrane w ładne, kolorowe ubrania — i nagle wzrok pada na te trzy wiedźmy, od których się wzdryga. Znowu malarz gra na duszy widza, posłusznej mu, jak instrument palcom muzyka — Tak samo, jak kolor każdego obrazu Böcklina jest inny, tak też i nastrój uczucia w każdym się zmienia. Od groźnego dramatu do cichej sielanki, od wybuchu wesołości do melancholii — przez wszystkie stopnie uczuć prowadzą widza jego obrazy.

„Willa nad morzem" malowana dwa razy — za każdym w całkiem innym tonie, jak wymownie wyraża samotność i melancholijną tęsknotę, goniącą wzrokiem gdzieś za dalekości widnokręgu. Malownicze linie zrujnowanej architektury, silna i świeża roślinność, wśród której górują olbrzymie cyprysy, nachylone w stronę lądu wielkiem tchnieniem wiatru, idącego z bezmiernych płaszczyzn morza i morze, którego ostatnie, płytko rozlewające się fale, szemrzą i chlupocą u podnóża skał. Wśród tego pejzażu samotna kobieta patrząca w cichą dal wieczoru — oto obraz. Raz jest namalowany w szarym, bladym, spokojnym tonie — a drugi raz na wierzchołkach cyprysów i szczytach ruin złoci się odblask zachodniej zorzy. A oto znowu wśród ogrodów i winnic stoją starorzymskie winiarnie, w kwiatach pod błękitnem niebem, oblane jakiemś jasnem, miłem, ciepłem i łagodnem słońcem. Od tych barw jasnych, od blasków słońca, łagodnych linij pejzażu i pół pijanych Rzymian, wieje swoboda, wesołość i szczęście. — Harmonia barw istnieje w naturze nieprzepartą logiką praw fizycznych; jeżeli w pochmurny dzień przedrze się z za kopuły obłoków jeden promień słońca — w tej chwili wszystko się zmienia. Światła, półtony, cienie, refleksy, przeinaczają się drogą naturalnego dążenia do równowagi świetlnej, do harmonii. Malarz nie ma tych prostych co natura środków. Malarz musi sztucznymi środkami wywoływać wrażenie prawdy. W tem właśnie leży mistrzowstwo Böcklina. Właściwie techniki, w tem znaczeniu, jaki zwykle się temu wyrazowi nadaje, u niego nie czuć i nie widać. Nie ma tu lakiernictwa. Wobec jego obrazów nie przychodzi na myśl, ani „śmiałość", ani „zręczność", ani „delikatność pędzla" — ani żaden inny ceniony przez pseudo-znawców przymiot malarza. Farba, farba taka jak na palecie, surowa, ordynarna glina, spreparowana w fabryce, nie istnieje tu wcale.

Böcklin nie maluje farbami takiemi, jakie są — tylko tonami powstającymi z ich kombinacyi — tworzonymi przez niego bez żadnej recepty — z niepojętą siłą intuicyi, otwierającą mu tajemnice tworzenia się zjawisk świetlnych w naturze. — Komu się zdarzyło być w ciasnym wąwozie górskim, w wąskim korytarzu ścian skalnych, gdzie spojrzawszy w górę, widzi się popękane głazy wiszące nad głową, jakby zatrzymane w locie i czające się z jakimś złym zamiarem — ten zapewne odczuwał to wrażenie, jakiegoś nieuniknionego niebezpieczeństwa, które przykuwa na miejscu lub nagli do ucieczki.

To właśnie wyraża obraz Böcklina, na którym widać strasznego, stalowego gada, wysuwającego się ze szczeliny skalnej nad wąwozem, którym uciekają w panicznym strachu drobne postacie ludzkie, tłocząc się na most wiszący nad przepaścią, w której pieni się potok. W tym jak i w innych obrazach Böcklina odmalowany jest z nadzwyczajną prawdą stosunek człowieka do wielkich zjawisk w naturze — i to, co wobec nich on może odczuwać i myśleć. Oto „Anachoreta": pod prostopadłą ścianą skały, z której zwieszają się pnące krzaki górskich krzewów; na kamieniu, z którego zejść niepodobna, — chyląc się przed krzyżem z nieociosanych belek, biczuje sobie nagie plecy jakiś starzec — przykuty tu swoją wiarą na zawsze — do śmierci, na którą czekają krążące nad nim kruki.

Głębokie pojęcie dramatyczności tej fatalnej sytuacyi — odpowiada nieporównanemu urokowi koloru. Szara skała, czerwonawe zwiędłe liście krzewów, z za których wyziera ciemny błękit pogodnego nieba — kolor ciała anachorety, i kolor czarnych skrzydeł kruczych — wszystko razem stanowi wspaniałą, jednolitą harmonię.

W obrazie tym łatwiej niż w innych znaleść dowód na to, że malarz sztucznymi środkami musi wywoływać wrażenie prawdziwe. Kruki namalowane są ciemną i silną błękitną farbą, która w stosunku do nieba tak traci na wartości, że się wydaje czarną — zaś w stosunku do ciemnych zagłębień skały, z któremi równa się co do siły na mocy kontrastu tonów ciepłych i zimnych, uwidocznia to ptactwo, któreby inaczej zlało się z resztą cieni. Nie chcę dalej przedłużać opisów innych obrazów, z których każdy jest poematem — radzę tylko każdemu, kto może być w Monachium, by poszedł je oglądać.

A o to, jak kończy Witkiewicz rozdział swej książki poświęconej Boecklinowi: „Boecklin nigdy zapewne nie będzie popularnym, gdyż w jego obrazach nie ma anegdoty, ilustrującej bieżące uczucia i myśli tłumów — ale dla każdego, który doszedł do tak wysokiej kultury ducha, że może i potrzebuje doznawać wrażeń od natury i sztuki, bez względu na ich praktyczną wartość, — dla każdego takiego Boeklin będzie jednym z największych artystów, nietylko XIX stulecia".

syi renty, ponieważ zawiera ona bardzo wielkie votum zaufania dle rządu, któremu udzielono w tej ustawie pełnomocnictwa na przeprowadzenie miliardowych operacyj. Ze względu na niewyjaśnione stosunki z Węgrami i ze względu na to, że nie cały dług państwowy ma być konwertowany, jest mówca przeciwnikiem ustawy. Sprzeciwia się myśli podniesionej przez posła Pleja w sprawie t. zw. automatycznej konwersyi, ponieważ państwo nie może wziąć na siebie obowiązku zniżenia stopy procentowej w przeciągu pewnego czasu, nie mając pewności, jakie mogą nastąpić w przyszłości komplikacye. Zdaniem mówcy stopa procentowa będzie bezustannie spadała wskutek stagnacyi przemysłu naszego, wynikłej z nadzwyczajnego rozwoju przemysłu niemieckiego i angielskiego oraz wskutek otwarcia min złota w Transvaalu.

Minister skarbu Boehm-Bawerk udzielił poufnych wyjaśnień co do stosunku do Węgier. Dał uspokajające wyjaśnienia co do owej części wspólnego długu, której konwersya nie obejmie. Obecna chwila — mówił — jest bardzo stosowną dla przeprowadzenia konwersyi. Wybrano taką stopę procentową dla konwersyi, któraby umożliwiła najłatwiejsze jej przeprowadzenie i nie wywołała zmian w posiadaniu rent, ani też niepożądanych następstw w stosunkach kredytowych, któraby nie spowodowała powrotu efektów z zagranicy i nie wywarła niebezpiecznego wpływu na ekonomiczne stosunki i regulacyę waluty. Przez taki bowiem powszechny przewrót byłoby utrudnione ulokowanie reszty renty inwestycyjnej i znalazłyby się w niekorzystnem położeniu renty kanałowe. Prosta konwersya jest o wiele tańszą. Minister przemawia za zasadą 4%. Konwersya na $3^3/_4\%$ przedstawia się w obecnej chwili jako niekorzystna. Wszakże można dla tych, którzy nie będą się przyczyniali do konwersyi na 4%, stworzyć konwersyę $3^3/_4\%$ jako typ renty, która dla przyszłości może być probierzem każdorazowego stanu stopy procentowej. Propozycyi „automatycznej“ konwersyi minister nie może przyklasnąć.

P. Eug. Abrahamowicz oświadczył się za konwersyą niżej 4 procent. Odpowiadałoby to położeniu na targu pieniężnym i zmniejszyłoby znacznie ciężary państwowe, wywierając korzystny wpływ na stopę procentową instytucyj hipotecznych. Jako zastępca kraju przedewszystkiem rolniczego, oświadcza się mówca za niższą stopą procentową. Wskazuje na trudny kredyt dla ludności rolniczej. Bank austro-węgierski z powodu średniowiecznego swego systemu, jest pod względem kredytu dla rolników prawie zupełnie niedostępny. Koła finansowe, które chcą na konwersyi zarobić, usiłowały wysunąć na pierwszy plan wzgląd na sieroty, wdowy, narzeczone oficerów itd. Minister nie powinien dać się tem obałamucić i postarać się o zniżenie stopy procentowej. Oświadcza, że byłoby słusznem, aby, skoro państwo płaci niższą stopę procentową, także od swych ludów nie pobierało wyższej stopy. Kończy rezolucyą o wniesienie ustawy co do zniżenia odsetek zwłoki od zaległości podatkowych i należytości.

P. Górski zaznacza, że przedłożenie o konwersyi odpowiada raczej staremu, austryackiemu, biurokratycznemu szymlowi, aniżeli zwyczajom, przyjętym w innych państwach europejskich. Rząd domaga się w przedłożeniu nieograniczonego pełnomocnictwa, gdyż ani nie są tam uwidocznione warunki konwersyi, ani nie powiedziano, jaki typ renty ma być zastosowany. Rząd uzasadnia żądanie takiego pełnomocnictwa smutnymi stosunkami parlamentarnymi. Mówca podnosi wobec tego, że w Izbie zawsze istniały stronnictwa, które sanacyi stosunków parlamentarnych pragną więcej niż sam rząd. Mówca oświadcza się za konwersyą niżej 4%. Pierwej istniał zamiar niższej stopy procentowej, lecz myśl tę porzucono. Rząd chce natomiast spróbować z częściową konwersyą na $3^3/_4\%$, przez co tylko cała sprawa będzie bardzo skomplikowaną, gdyż będziemy mieli rentę na $4{\cdot}2\%$ na 1 miliard 400 milionów, które obecnie nie mają być skonwertowane, dalej 4%-we stare renty i nowe na $3^3/_4\%$, oraz $3^1/_2$-procentowe renty inwestycyjne.

Poseł Starzyński zaznacza, że Węgry nie mają prawa do udziału w konwersyi renty, dowodzi, że mająca być konwertowaną renta jest austryackim przywilejem, ponieważ Węgry w ugodzie z r. 1867 zobowiązały się do płacenia tytułem odsetek 29 milionów złr. Przyłącza się do wywodów Górskiego i oświadcza się za konwersyą niżej 4%.

Minister skarbu Boehm-Bawerk oświadcza się przeciw wnioskowi o rozszerzenie sumy renty ponad 3 miliardy 620 milionów. Spodziewa się, że utworzenie $3^3/_4\%$-owej renty wpłynie korzystnie na kurs innych papierów. Co do 8 dniowego terminu dla oświadczenia się właścicieli o przyjęciu renty, to jest on uzasadniony, tembardziej, że różnica stopy procentowej wyniesie tylko $0{\cdot}2\%$. Co się tyczy odsetek za zaległości podatkowe należy podnieść, że zniesienie ich lub zniżenie nie pozostałoby bez niekorzystnego wpływu na płacących podatki,

W końcu przyjęto przedłożenie o konwersyi w brzmieniu, proponowanem przez rząd.

Przewodniczącemu komisyi polecono postawienie w Izbie wniosku o nagłe traktowanie tej sprawy.

Wiedeń 12 lutego. Komisya przemysłowa obradowała w dalszym ciągu nad przedłożeniem przeciw pijaństwu. W toku dyskusyi zaprotestował p. Pommer przeciw składowi subkomitetu, w którym nie ma zastępców krajów alpejskich i południowych. Przewodniczący przyrzekł uwzględnić to życzenie. P. Stojan zażądał natychmiastowego wyboru uzupełniającego. Okazał się jednak brak kompletu.

Wiedeń 12 lutego. Na wczorajszem posiedzeniu komisyi wojskowej po wywodach kilku posłów wygłosił minister obrony krajowej Welsersheimb dwugodzinną mowę, w której odpowiadał na poruszane kwestye i pytania. Uważa za słuszne zniesienie kar „kajdanków“ i „słupka“ i uznaje, że ograniczyć się je powinno tylko do recedywistów. Co do znęcania się nad żołnierzami, to każdy wypadek jest ściśle badany, a w razie stwierdzenia faktu winny jest karany. Wypełnianie obowiązków religijnych zawsze się żołnierzom ułatwia, a niedomagania w tej mierze będą usunięte. Co do sprawy pojedynków, należy zapobiegać im w praktyce o ile tylko można. Niedawno wyszło rozporządzenie, by nieporozumienia załatwiano w wojsku ile możności w sposób pokojowy, przy interwencyi komendantów i kolegów. Dobrzeby było, aby władze cywilne surowo ścigały sekundantów. Minister omawiał skargi na szkody wyrządzone podczas ćwiczeń. i zapewnił, że braki te będą usunięte. Wkrótce będzie prawdopodobnie przedłożona nowa taksa wojskowa.

Co do urlopów, w ostatnich 2 latach uwalniano bardzo wielu żołnierzy i w tym kierunku pójdzie zarządzenie jeszcze dalej. W końcu zaznaczył minister, że armia powinna być wolną od tendencyi narodowościowych.

Wniosek socyalisty Schuhmeiera o zaprowadzenie natychmiastowe dwuletniej służby wojskowej, odrzuciła komisya 23 głosami przeciw 10. Ewentualny wniosek tego samego posła o przyjęcie pierwotnego przedłożenia wojskowego, w którem nie było mowy o podwyższeniu kontyngentu rekrutów — z opuszczeniem ustępu o rezerwach uzupełniających, odrzucono 21 głosami przeciw 13, poczem przedłożenie przyjęto 18 głosami przeciw 14.

Nowy dramat Gorkiego.

„Sceny z nizin życia“ — oto tytuł nowego dramatu Maksyma Gorkiego, który niedawno z ogromnem powodzeniem wystawiły sceny rosyjskie. Utwór ten stekiem przedstawionych w nim rzeczy wstrętnych i okropnych, szarpie nerwy tak silnie, że pod tym względem można go niemal nazwać bezprzykładnym w literaturze świata. To też niewiadomo nam, czy kiedykolwiek w dziejach krytyki teatralnej zdarzył się fakt taki, jaki notuje berlińska *National Zeitung* z okazyi wystawienia tej sztuki w przekładzie niemieckim pt. „*Nachtasyl*“ w jednym z teatrów w Berlinie. Oto recenzent tego pisma podaje treść utworu tylko do końca drugiego aktu, i na tem urywa, dodając: „dłużej przedstawienia tego nie mogłem wytrzymać“. Silniejsze nerwy miał widocznie krytyk polski, p. Leon Bielski, który po pierwszem przedstawieniu dramatu tego w Moskwie nadesłał petersburskiemu *Krajowi* obszerne sprawozdanie, bardzo dobrze charakteryzujące okropnie brudną i przejmującą atmosferę, jaka się roztacza w dziele Gorkiego. Sprawozdanie jego powtarzamy tu w całości. P. Bielski pisze:

„Jesteśmy „na dnie“ społeczeństwa, tam, gdzie zbierają się jego męty i fusy. Jesteśmy w okropnej atmosferze przytułku noclegowego. Odrapane, wilgocią ociekające mury. Przytłaczająca głowy powała krzywobocznej izby piwnicznej. Kopcące, słabem migocące światłem lampki naftowe. Zbite, pochyłe deski, reprezentujące wspólne leżnice dla ciał, spowitych w łachmany, świecących brudną nagością przez dziury nędznej, karykaturalnej odzieży. Brud... brud... brud...

Kilkokopiejkowa cena wstępu, akurat tyle, aby za nią wolno było dać brak wszelkich ludzkich wygód; coś, co mniej jest, niż ludzkie warunki, mniej, niż buda dla psa przy arystokratycznym pałacu... coś, co jest przecie tak dużo, że daje możność przytulenia głowy w stęchłej i ogrzanej ciepłem wyziewów ludzkich atmosferze; coś, co jest tak dużo, że za progami przytułku wzdycha jeszcze i do tej północy marznąca wśród śnieżnej wichury i zgrzytająca zębami nędza.

Kto są ci, co zbierają się tutaj, spędzając czasem całe dnie i noce, a wychodzą tylko dla zalania gardła wódką w szynku, niekiedy na połów cudzej własności, niekiedy dla zarobienia kilku groszy przypadkową robotą dziennego najmity, niekiedy dla powałęsania się po ulicach?... „Na dnie“ ujrzymy jak gdyby odłamki statków, które ongi dumnie żeglowały po powierzchni życia... potrzaskane maszty, które pięły się pod niebo, zanim złamała je burza... butwiejące, podarte bandery, na których spełzły kolory, zatraciły się rysunki symboliczne... bezkształtne gruzy ludzkich postaci, ongi przystosowanych celowo, rozłupanych później wichrem, lub pchniętych na dno przez najlżejszy powiew wiatru, skutkiem słabej odporności, niedostatecznego przystosowania... gnijące trupy moralne ludzi wybitnego niegdyś stanowiska... Szczątki pasażerów pierwszej klasy... Są tu zrujnowani do cna panicze, którzy przepuścili przez palce olbrzymie majątki... są filozofowie, którzy przefilozofowali wszystko.. są ludzie, których chwilowa namiętność, czasem błyskawica słusznego, ale zbyt druzgocącego gniewu, czasem lekkomyślność pchnęła do zbrodni, zbrodnia pchnęła do więzienia, a więzienie wykoleiło z szyn uporządkowanego życia... są ludzie, wypuszczeni z jednej turmy i gotujący się do drugiej... są uwolnieni z Sybiru lub zbiegi z katorgi... ludzie, którzy zatracili imiona, jak zatracili talenty i zdolności do pracy... dusze, przeżarte przez nędzę, niedolę, nieszczęście, niepowodzenie, nieporadność, najczęściej przez alkohol... Bolesna, posępna atmosfera dna społecznego — rozkładające się idee moralne, fosforyzujące kawałki myśli, które kiedyś, na górze, były promiennym całokształtem; przygłuszone przez innych i przygłuszające się same w dalszym ciągu uczucia szlachetne, mściwe zgrzytania pod adresem tych, co zostali na górze, wyrzuty, których okrutna niesłuszność płynie ze słusznych źródeł; wyrzuty, których ból nabiera słuszności, płynąc nawet z zasad niesłusznych; wybuchowe miny, gromadzące się pod uporządkowaną powierzchnią społeczną...

Jest inna kategorya typów i ideowych postaci „dna“... To, co urodziło się już na dnie, w mroku i głuchych, jednostajnych pogwarach społecznej topieli... To, co urodziło się ślepem... Uczucia i myśli, które mają przeczucia o świetle powierzchni, i z dna podążają ku górze, lecz dojść nie mogą, bo tłoczy je napór górnych fal, bo drogę musiałyby przebiedz zbyt wielką... Siły, wytężające się na próżno... Skamieniałości dna morskiego...

Dwa rodzaje istot, do malowania których jakgdyby powołany został twórczy pendzel Gorkiego! Na dnie społecznem, skąd wyrwał się w górę sam — jeden z niewielu — wyrwał się mocą niezwykłego talentu, widział on mnóstwo społecznych robotników, odpadki z warstw wierzchnich, widział i tych, co urodzeni na dole, nie mają mocy oderwać się od dna, lub wstrzymywani są na niem naporem sił, działających z góry. Jego przedziwna pamięć zachowała w całej świeżości wymowne zwroty języka tych ludzi — bełkotanie zaczątkowych form myśli i uczucia, bełkotanie rozerwane i rozpryśnięte... A odtwarzając te oryginalne zwroty, Gorkij zdumiewa nas w jednym i w drugim wypadku: nagłemi błyskami tego, co rodzi się tam, w takim straszliwym mroku i czemu nie dano rozświetleć w pełni, i gasnącym migotliwym blaskiem tego, co świetleje jeszcze resztkami wspaniałości dawnej w tej głębokiej i mrocznej topieli. I dwoma żalami przejmuje nasze serce Gorkij: żalem nad tem, co urodzone, nie może się rozwinąć, i żalem nad tem, co rozwinięte, przepada; dwa żale nad dwoma rodzajami zagłady.

Oto aktor, co pamięta jeszcze oklaski, pamięta dawne święte dreszcze natchnień, z dumą wymawia słowo: „Melpomena“, słowo, którego towarzysze noclegu nie znali nigdy, lub przypomnieć nie mogą, za co obejmuje ich pogardliwem spojrzeniem; ale sam on nie może już nic przypomnieć z dawnych ról swoich, z poezyj, które mówił na estradzie; jeszcze tylko czasem w pijanym mózgu zakołysze się jakiś urywek z Szekspira, kawałek z monologu Hamleta, połowa idei lub połowa obrazu; alkohol zbydlęcił go zupełnie; w ponurej ekstazie, z deklamacyjnym tonem w głosie, resztą dawnych przyzwyczajeń artysty, powtarza on co kilka minut: „mam organizm zatruty alkoholem“. Oto filozof domu noclegowego — człowiek, który w rozdrażnieniu zabił „podlca“, mszcząc krzywdy siostry, dostał się do więzienia, a wypuszczony, wzgardził społecznością i pracą, stanął w mniemaniu swojem wyżej „po nad sytością“, z dumą nosi rozchełstaną koszulę i wystawia dziurawe łapcie; „znudziły go wszystkie ludzkie słowa“ — toć słyszał je „może po tysiąc razy“; z emfazą rzuca niezrozumiałe dla towarzyszy wyrazy: „transcedentalny“, „organon“ — niezrozumiałe już i dla niego, bo zapomniał, co znaczą. Po co ludzie mają pracować? Niech wszyscy próżnują! — oto jego idea. „Zdechną wszyscy“ — zarzuca mu ktoś inny. „Właśnie!“ — odpowiada ów Schopenhauer przytułku noclegowego.

Oto były „baron“ wspominający filiżanki porannej białej kawy, spijanej w pościeli, i karety z herbem, mówiący „r“ z francuzka. Umie on nosić łataną swoją odzież z pewnym wykwintem. „Pańskość — zauważa ktoś z jego towarzyszy — jest, jak ospa: człowiek wyzdrowiał, a znaki po chorobie zostają“. Te znaki zachowuje łachmaniarz-elegant. Czem było jego życie? „Przebierałem się ciągle“ — powiada. Najprzód nosił mundur instytutu szlacheckiego, ale czego się uczył, nie pomni. Ożenił się — licho wie, jak? — wie tyle, że włożył frak do ślubu. Potem mundur akcyzowy i czapka ze znaczkiem. Potem roztrwonione pieniądze skarbowe i — aresztancki chałat. Potem odzież żebracza. Całe życie przeszło mu jakby w „tumanie“: „nic nie rozumiał“.

Oto rzemieślnik, wstydzący się próżniactwa, a nie znajdujący pracy, nienawidzący dlatego wszystkiego i wszystkich, okrutny dla żony, posępny, zaciekły... Oto były farbiarz, który wyznaje zasadę, że „wszyscy ludzie są zbyteczni“... Dalej, złodziej kieszonkowy o twarzy inteligentnej, o sercu sentymentalnem, szukający prawdziwej miłości, jeszcze, zda się, zdolny do naprawy, tylko należałoby mu częściej mówić, że „jest dobrym człowiekiem, bo inaczej zapomni“... Obok nich dziewczyna, w hałaśliwej atmosferze noclegowego domu, wśród piekielnych krzyków i obrzydliwych wymysłów, czytająca ckliwe stare romansidła, tłómaczone z francuzkiego, płacząca nad dziejami bohaterek, marząca, że sama jest heroiną romansów, kochanką „Gastona“, albo „Raula“... Oto ordynarna i rozpustna żona właściciela przytułku noclegowego, podmawiająca kochanka, aby zabił starego jej męża i obiecująca mu za cenę zyskanej w ten sposób wolności nie sprzeciwiać się temu, że dawny kochanek zwróci amory do jej siostry...

W tem tkwi węzeł prawdziwego dramatu w sztuce. Po za tem mamy szereg znakomitych scen rodzajowych, ogromnie plastycznych postaci, niezmiernie realistycznych obrazów, świetnych artystycznych fotografij nizin życiowych... Mamy tło, na którem wyrysowują się krzywizny ideowe, swoiste „moralne“ formacye sfer, żyjących na dnie. Podczas gry w karty, przy nieodłącznej wódce, baron szuleruje; tatarzyn przegrawszy, oświadcza z wściekłością: „trzeba grać uczciwie!“ „Uczciwie? — zapytuje filozof noclegowego domu — a to na co? dlaczego trzeba grać uczciwie?“ — i to pytanie nie spotyka odpowiedzi. Nikt nie może wytłómaczyć, dlaczego „należy grać uczciwie“ — ogólny śmiech wita to pytanie i stwierdza „bezmyślność“ nie dającego się udowodnić twierdzenia tatarzyna.

Akcyi w tem wszystkiem mało. Nie rozwija się ona w prawidłowym postępowym rozwoju, według zwykłych reguł sztuki dramatycznej. Ale dramat jest. Zjawia się on naraz w końcowej scenie trzeciego aktu. Scena ta jest jak gdyby wybuchem wojny. Wszystkie żywioły, które okazał nam autor w szeregu obrazów poprzednich, są niby prochem, który powoli nagromadza się we wnętrznościach bomby. Wewnątrz jej coś się gotuje, coś nabiera prężności. Iskrą, która zapali bombę, jest namiętność gospodyni noclegowego domu do złodzieja, Waśki, i zazdrość jej względem siostry, która odebrała jej serce kochanka.

Następuje scena na podwórzu domu noclegowego, jedna z tych scen zbiorowych, które ujawniają mistrzowstwo reżyserskie Teatru Artystycznego. Scena niezapomniana, choć na pozór nikła w treści: jedna z tych scen. które w szanujących się pismach zaznaczane bywają dziesięcioma wierszami petitu. Zabójstwo w bójce. Pogodna rozmowa dwóch osób na podwórzu przerwaną zostaje nieludzkim piskiem i jękiem, dochodzącym z górnych pięter domu. Piekielna wrzawa rośnie. Stłoczony kłąb ciał ludzkich wylewa się na podwórze. Krzyczącą w niebogłosy młodą kobietę jakieś ręce składają na ziemię. To Natasza, siostra gospodyni. Przed chwilą ta ostatnia, wściekła z zazdrości, wylała jej na nogi samowar z wrzącą wodą. Niektórzy mieszkańcy domu noclegowego ujęli się jej krzywdy. Inni stanęli po stronie gospodyni. Teraz dziesiątki ludzi pasuje się w bójce ogólnej, migają jaskrawe łachmany, znane nam ze scen uprzednich twarze ukazują się w rozognieniu namiętnością walki. Uderzony w ucho gospodarz, ze skowytaniem bólu zatacza się po scenie. Przez parkan na podwórze śpieszy złodziej Waśka, dawny kochanek gospodyni, teraz odradzający się nową, szlachetniejszą miłością do Nataszy: śpieszy ująć się krzywdy nieszczęśliwej, nie mogącej się ruszyć dziewczyny, żałośnie jęczącej na kupie śmieci — wpada w ten wir ludzki, przewraca gospodarza, tłoczy go swoim ciężarem, zapamiętale uderza w skroń. Stary wyga i paser zalewa się krwią — tłum z przerażeniem rozstępuje się — na ziemi zostaje trup... Okrzyk udanej rozpaczy, w istocie zaś okrzyk tryumfu, wyrywa się z ust gospodyni: uwolniona od męża! teraz niewiernego kochanka poszle jej świadectwo na katorgę. „Policyi! Policyi! Waśka zabił!... Ja widziałam!...“

Olbrzymie wrażenie na sali. Nastaje kamienna cisza, co przełamuje się po dobrych kilku minutach w ogłuszający łoskot braw. Widziałem po raz pierwszy w życiu antrakt, podczas którego nikt nie ruszył się z sali; widziałem aktorów i aktorki, kłaniających się publiczności, jakby w oczarowaniu jeszcze gry, co przeniknęła ich samych do głębi.

Ale nie w tej pełnej grozy scenie dramatycznej, nawet nie w realizmie obrazów z życia ludzi „zdeklasowanych“ tkwi piękno sztuki. Potęgę ideową utworowi Gorkiego nadaje centralna, przedziwnie pomyślana postać starca Łukasza — „pielgrzyma-włóczęgi“. Jest to wcielona dobroć, która nie wie o tem, że jest dobrocią. Na pytanie: „dlaczegoś ty taki dobry?“ — starzec odpowiada pytaniem: „dobry?“ — poczem dodaje swoim pełnym miękkości, jak gdyby głaszczącym po sercu głosem: „a przecie trzeba, żeby ktoś był i dobrym“.

Ta dobroć ogniskuje się w zasadniczej idei starca, będącej oczywiście ideą samego Gorkiego: „uszanuj człowieka“. Myśl ta oscyluje około idei ewangelicznej miłości, stykając się w szerokim wahadłowym swoim ruchu nie spodziewanie z ideą Nietzscheańską: „Uszanuj człowieka — bo wszyscy ludzie żyją dla czegoś „lepszego“ — dla człowieka, który z nich kiedyś wyjdzie, wyższego, pełnego dostojności. Uszanuj materyał“. Ta wiara nakazuje starcowi bronić wszystkich przed wszystkimi. Jego dobroć jest nadomiar pełną rozsądku i wyrozumiałości. W mrokach noclegowego domu świeci on, jak promień, który z nieba przedarł się w głąb topieli. Umierającą, pobitą przez męża Annę, pociesza starzec, malując jej ogromną ciszę i spokój śmierci. Alkoholika-artystę na chwilę odrywa od butelki, zapewniając go, że jeżeli tylko mocno zechce, a wytęży wszystkie siły, to może wrócić jeszcze na drogę dawnej sławy. Pocieszając, starzec zwodzi czasami, w swojej mądrej prostocie dorozumiewając się wartości iluzyj. Przejmująco piękną jest jego opowieść o „katorżniku“, który zawsze wierzył w to, że istnieje jakaś „sprawiedliwa ziemia“ (*prawiednaja ziemlia*), a gdy jakiś uczony towarzysz katorgi, który „znał wszystkie mapy“, powiedział mu, że na mapach takiego kraju niema — marzyciel pobił uczonego, a potem powiesił się...

Gdy starzec idzie w świat na dalszą włóczęgę, promienne ślady jego chwilowego pobytu zostają w duszach tych napozór zatwardziałych zupełnie ludzi, dając im chwile ukojenia, chwile porywów ku lepszej przyszłości, chwile błogosławionych złudzeń, że nie są najgorsi, że jeszcze wydobędą się z mroków „dna“...

Wydobyć się trudno!... Aktora nieubłagana siła pcha znowu ku wódce. Lecz przerażony tem, że nie wytrzymał na drodze poprawy, nieszczęśliwy wiesza się w sieni domu noclegowego.

Nagła wieść o tem wpada między jego towarzyszy w chwili, gdy zapomnieli się na chwilę, upojeni wódką, a więcej jeszcze wspólną pieśnią — pieśń urywa się... głowy schylają się posępnie... i wśród kamiennego milczenia jeden głos odzywa się z akcentem goryczy: „Ach, zepsuł nam pieśń!“

Tym okrzykiem zamyka się sztuka — okrzykiem, pełnym myśli: w tej sferze śmierć człowieka jest tylko przerwaniem pieśni, bo ci ludzie nie znają innego szczęścia, jak chwilowe zapomnienie się w pieśni, choćby śpiewanej ochrypłemi od pijaństwa głosami, choćby wyrywającej się z piersi, gorejącej od żaru wódki!...“

KRONIKA.

Lwów 12 lutego.

Bal prasy, urządzony wczoraj na dochód wdów i sierót po dziennikarzach, wypadł pod każdym względem świetnie. Dzięki wytwornemu smakowi artysty-malarza-dekoratora p. Jasieńskiego, sprawiała sala balowa Filharmonii bardzo malowniczy efekt. Organy zasłonięto piękną dekoracyą, przedstawiającą ogród, naokoło zaś sali poustawiano mnóstwo kwiatów i krzewów, których uprzejmy dyrektor kolei, radzca dworu p. Wierzbicki dostarczył bezinteresownie Komitetowi z oranżeryi kolejowej. Wiele ożywienia dawała sali ta okoliczność, że loże wszystkie od dołu aż do góry, od parterowych aż do drugiego piętra wypełnione były paniami w strojach balowych, z mnóstwem kwiatów u gorsu i we włosach.

Wnet po godzinie 9 tej zaczęli się zjeżdżać goście. Przybyło bardzo wiele osób ze świata arystokratycznego, literackiego, artystycznego, militarnego z komenderującym p. Fiedlerem na czele, ze świata urzędniczego, mieszczańskiego etc. Około godziny 10 orkiestra Filharmonii odegrała prześliczny, umyślnie na bal prasy napisany polonez p. Czelańskiego. Gorące oklaski nagrodziły kompozytora za ten utwór pełen poetycznego polotu. Po tej produkcyi koncertowej weszła na estradę orkiestra p. Rolla i rozpoczęła bal polonezem zwykłym. Stanęło do niego około 200 par.

Długi korowód prowadził prezes Tow. dziennikarzy polskich p. Adam Krechowiecki z protektorką balu hr. Andrzejową Potocką. Za nimi postępowali: namiestnik hr. Piniński z hr. Romanową Potocką; marszałek hr. Andrzej Potocki z księżną Andrzejową Lubomirską; prezydent miasta dr. Małachowski z hr. Siemieńską; prezydent apelacyi dr. Tchórznicki z panią Tyzenhauzową itd. itd.

Po skończonym polonezie przy dźwiękach walca § 19, poświęconego komitetowi balu przez kompozytora p. Rolla, rozwinął się bal w całej pełni i przeciągnął się do białego rana. Tańce prowadzili pp. Chołodecki, Getter i Sołtyński. Serdeczne podziękowanie ze strony komitetu należy się p. dyr. Hellerowi, który zupełnie bezpłatnie odstąpił komitetowi salę i był mu we wszystkiem bardzo gorliwie pomocnym.

Powszechne wykłady uniwersyteckie. We Lwowie, w piątek, dnia 13 b. m. Prof. Uniw. Dr. J. Zakrzewski: Początkowe wiadomości z fizyki, część II. (z doświadczeniami). Zakład fizyczny Uniwersytetu, Długosza 8. Początek o godzinie $7^1/_2$.

Na prowincyi. W niedzielę, dnia 15 b. m. Stanisławów. Prof. Uniw. Dr. B. Dembiński, Kluby i stronnictwa wielkiej rewolucyi.

Drażliwości teatralne. Wiadomo, że ludek teatralny jest bardzo wrażliwy. Krytyki nie znosi, a lubi tylko pochwały. Jeżeli zaś kto odważy się na najdelikatniejszą krytykę, to natychmiast traktuje go jak największego wroga. Owóż zdarzyło się tymi dniami, że pewien krytyk delikatnie zauważył, iż występy gościnne pewnej artystki „urozmaicą cokolwiek wyjałowiony repertuar miejscowego teatru“. Na to dyrekcya owego teatru wystosowała do niego list bardzo ostry i zapowiedziała mu w nim, aby krytyk, zamieszczanych w pewnem piśmie, zależnem od owej dyrekcyi, nauczył się, jak należy pisać o teatrze.

Z Filharmonii. Z powodu balu u marszałka kraju, JE. Andrzeja hr. Potockiego, sobotni wielki koncert filharmoniczny, w którym wystąpi po raz drugi i ostatni Jan Kubelik, rozpocznie się wyjątkowo o godz. pół do 7-mej wieczorem, a skończy się przed godz. 9-tą.

Straszny wypadek pod Strzyżowem. Dnia 9 b. m. odbył się w Strzyżowie pogrzeb ś. p. prałata X. Jabczyńskiego. Lud przywiązany do ukochanego pasterza przybył tłumnie na pogrzeb z różnych stron w liczbie przeszło 5000 osób. Przepływająca przez Strzyżów rzeka Wisłok w ostatnich dniach odwilży stała się wskutek roztopów bardzo bystrą i rwącą. Na rzece tej nie ma żadnego mostu, nawet łódki tam nie istnieją, przewóz zaś osób, mieszkających po drugiej stronie rzeki, odbywa się na niewielkim promie, za który składa się pewną opłatę. W krytycznym dniu po pogrzebie lud śpieszący się do domów zaczął tłumnie wstępować na prom, nie zważając na to, że prom jest za słabo zbudowany i że pod ciężarem tylu ludzi się załamie — każdy chciał być co prędzej na drugim brzegu. Przeszło 120 osób weszło na prom — było tak ciasno, że ludzie dusili się formalnie na nim. Zaledwie prom ruszył z miejsca, przypłynęły ogromne kry, uderzyły w jego ściany zepchnęły go w głąb i same zwaliły się na niego. Kilkanaście osób wskutek silnego uderzenia kry wpadło zaraz do wody, inni przytomniejsi sami skoczyli do wody i ci na tem najlepiej wyszli, bo większość z nich (około 20 osób) zdołano wyratować. Kry pozrywały liny promu i prom z resztą znajdujących się na nim około 100 osób został porwany straszną, gwałtowną falą. Głośne modlitwy na promie i rozpaczne wołania „Jezus Maryo“, „Matko Najświętsza ratuj nas“, na brzegach zaś przeraźliwe krzyki i płacze tłumów, biegnących co siła równolegle z promem, robiły straszne wrażenie. Rzucano tonącym na promie liny, sznury, osęki, ale to wszystko nic nie pomogło, bo owe środki ratunkowe już to nie mogły dosięgnąć promu, już to rwały się i pękały.

Pod mostem żarnowieckim widziano już na promie tylko około 30 osób zanurzonych po pas w zimnej wodzie. Robili oni wrażenie skostniałych już i nieprzytomnych.

Kilka kilometrów biegli brzegiem ludzie, a między nimi trzech kapłanów, ale gdy noc nastała, znużenie i ciemność zmusiły ich do powrotu. Garstka nieszczęsnych niedobitków popłynęła tymczasem dalej na rozbitym promie, który zatrzymano dopiero w Zaborowie. Było już na nim tylko 20 osób. Liczbę tych, którzy utonęli, obliczają dziś na przeszło 50 osób.

Teatr ludowy, kierując się myślą popierania przedewszystkiem rodzimego repertuaru, wystawia w niedzielę dnia 15 b. m. dawno niegraną znakomitą sztukę ludową J. Korzeniowskiego „Karpaccy górale“. W przedstawieniu biorą udział najlepsze siły. — W niedzielę po południu po raz drugi „Małka Schwarzenkopf“ G. Zapolskiej-Janowskiej. — W sobotę 14 b. m. wieczorem po raz trzeci i ostatni „Knajpa“ Z. Parviego.

Wybory do krakowskiej Rady powiatowej, z mniejszej własności, odbyły się wczoraj w tamtejszem starostwie. Lista stojałowczyków upadła zupełnie, zwyciężyła zaś kompromisowa lista zjednoczonych włościan, popierana przez pp. Fr. Ptaka i Wójcika. W szeregu 12 członków Rady znajduje się między innym także p. Włodz. Tetmajer z Bronowic Małych, znany artysta-malarz, ożeniony, jak wiadomo, z włościanką bronowicką.

Uczciwy bileter. P. Edmund Zubrzycki, będąc przed paru dniami na koncercie w Filharmonii, przy zapłaceniu bileterowi za program, tak niezręcznie włożył portmonetkę, zawierającą dwieście kilkadziesiąt koron, do kieszeni, że ona wypadła; spostrzegł zaś jej zgubę dopiero wtedy, gdy po koncercie, ubierając się w garderobie, chciał zapłacić garderobianie za przechowanie futra. Zawiadomił więc służbę Filharmonii o zgubie i polecił szukać portmonetki. Po chwili zgłosił się do niego jeden z bileterów Filharmonii, nazwiskiem Klemens Pawluk, i oświadczył, że znalazł tę portmonetkę, ale według przepisów nie może jej sam mu oddać, lecz prosi p. Zubrzyckiego, żeby się był łaskaw pofatygować do Dyrekcyi Filharmonii, gdzie portmonetkę otrzyma. Tak się też stało, i p. Zubrzycki niebawem przyszedł w posiadanie swej zguby.

Donosząc nam o tem, robi następującą słuszną w swoim liście uwagę:

„Fakt ten wart podniesienia; świadczy bowiem nietylko dodatnio o sumienności służby Filharmonii, lecz także i o energii, dzielności i sprężystości dyrektora p. Hellera, który umie sobie ludzi dobierać. Donoszę o powyższym wypadku w tej myśli, że szan. Redakcya nazwisko służącego poda do wiadomości ogółu. Jeśli bowiem ogłoszenie w dzienniku czynu karygodnego działa odstraszająco i może innych powstrzymać od nieprawego działania, to z drugiej strony podanie uczynku dobrego, może dotyczącą osobę w dobrem utwierdzić, a innych do dobrego zachęcić. Nasze dzienniki i tak są pełne wiadomości o przekroczeniach prawa, ale ogłaszanie czynów dodatnich uważa się za zbędne. Exempla trahunt!“

Sprawa księżnej Luizy. Wczoraj zakończył się w Dreźnie proces rozwodowy następcy tronu saskiego. Trybunał przesłuchał jeszcze jako świadków: marszałka dworu Tümplinga, ochmistrzynię ks. Luizy baronową Fritsch, tajnego radzcę profesora medycyny Leopolda i dyrektora królewskiej kliniki położniczej Fiedlera. Popołudniu ogłoszono wyrok, który orzeka, *że z powodu niewiary małżeńskiej, popełnionej przez oskarżoną z nauczycielem języków Andrzejem Gironem, zarządza się rozdział małżeństwa następcy tronu Fryderyka Augusta z jego żoną Ludwiką, urodzoną arcyksiężniczką austryacką.* Oskarżona jest jedynie winną i ma zapłacić koszta postępowania sądowego.

Giron oczekiwał wyroku w Genewie, dokąd przybył wczoraj wraz z p. Wölflingiem. Nie mogąc się doczekać nadejścia wiadomości o wyniku procesu, odjechał Giron z powrotem do Brukseli, nie widziawszy w Nyon ks. Luizy. Księżnę zawiadomił o treści wyroku jej adwokat Lachenal. Opuści ona teraz prawdopodobnie sanatoryum i zamieszka w zamku St. Gilgen, w pobliżu Salcburga, należącym do hr. Wrede. Chory syn księżnej, ks. Fryderyk Chrystyan, pogrążony jest już od przeszło 24 godzin w głębokim śnie.

„Teatr wiejski przyszłości“. Pod takim tytułem wygłosił onegdaj w Krakowie odczyt p. Lucyan Rydel, autor „Zaczarowanego koła“ i znawca wielki duszy naszego ludu. Odczyt ten był wyczerpującą odpowiedzią na kwestyonaryusz Wydziału krajowego i zarządu Kółek rolniczych, o ile i w jakich formach dałaby się urzeczywistnić myśl utworzenia teatru dla wsi. Owóż p. Rydel jest przedewszystkiem tego zdania, że lud wiejski nie odczuwa potrzeby teatru i bez niego snadno się obchodzi, jednakowoż zapał, z jakim oklaskuje sztukę i artystów, gdy przypadkiem znajdzie się w teatrze, dowodzi, że mógłby się rozmiłować w teatrze. Dlatego też, zwłaszcza wobec ciągłego domagania się oświaty ludowej, potrzeba teatru wiejskiego staje się coraz bardziej aktualną.

Według prelegenta teatr taki powinien być wędrowny, albo też mogłyby być organizowane miejscowe trupy amatorskie włościańskie, jak to jest praktykowane na Górnym Szląsku. W wyborze i układzie repertuaru powinien być uwzględniony poziom umysłowy, upodobania i wrodzone poczucie religijne ludu. A więc powinny być dawane sztuki oparte na tle biblijno-religijnem, historyi polskiej, legend treści religijnej lub obyczajowej, oraz na tle podań i wierzeń ludu. Także czas działania teatru wiejskiego musiałby być uwzględniony. Gryward możnaby po wsiach urządzać od adwentu do Wielkiejnocy, gdyż od wiosny do późnej jesieni praca około roli nie pozwala włościanom myśleć o żadnych rozrywkach. W porze około Bożego Narodzenia musiałyby być dawane „Jasełka", na które chłop nasz zawsze z jednakowem zajęciem i zachwytem patrzy.

W końcu prelegent wyraził mniemanie, że na stworzenie teatru wędrownego, dekoracye, garderobę teatralną itd. wystarczyłoby około 40.000 kapitału, a opłat zaś na wstępy, przy jakiejś stałej subwencyi krajowej, mogłaby się ta instytucya pomyślnie rozwijać.

Spółka dla parcelacyi obszarów dworskich między chłopów polskich w powiecie złoczowskim zawiązała się w Złoczowie, celem wykonania uchwał, powziętych na ostatnim zjeździe powiatowym w Złoczowie. Na czele jej stanął p. K. Obertyński.

Skrytobójczy zamach. Onegdaj w nocy w Warszawie wracał znany publicysta p. Korwin Piotrowski do domu. Na rogu ulicy Szopena i Mokotowskiej napadło na niego dwóch drabów, z których jeden dobył noża i ugodził go w lewą rękę. Obaj napastnicy zbiegli następnie i dotychczas nie zdołano ich pochwycić. Rana p. Piotrowskiego jest lekka. Fakt ten, że napastnicy po dokonaniu zamachu nie obrabowali p. Piotrowskiego, świadczy o tem, że musiała tu grać rolę jakaś osobista zemsta.

Pogłoski o konstytucyi w Rosyi. Z Petersburga nadchodzi wiadomość, iż p. Plehwe, minister spraw wewnętrznych i podobno teraz najwięcej w łaskach będący u cara dygnitarz, wypracował projekt pewnego rodzaju dość oryginalnej konstytucyi dla wewnętrznych gubernii caratu i przedłożył monarsze do zatwierdzenia. Według jego projektu, każde ziemstwo powiatowe będzie wybierało dwóch delegatów do ziemstwa gubernialnego, każde zaś ziemstwo gubernialne będzie wybierało dwóch delegatów do zgromadzenia prawodawczego, które będzie równocześnie izbą niższą istniejącej już Rady państwa. Konstytucya ograniczoną więc zostanie tylko do tych gubernii, które mają ziemstwa powiatowe (t. j. mniej więcej to samo, co nasze Rady powiatowe). Takich gubernii ma car 28, nie ma zaś ziemstw powiatowych na całym obszarze dawnych ziem polskich, jakoteż na Kaukazie, w Finlandyi, na Syberyi i w stepach Kozaków dońskich. Z tego się okazuje, że o losach całego caratu będą decydowały tylko wewnętrzne gubernie rosyjskie, zamieszkałe przez Wielkorosyan, i wschodnie nadwołżańskie, zamieszkałe przez Tatarów. A jakkolwiek ta konstytucya będzie oczywiście bardzo małostkową, zawsze jednak będzie to już pewna szczerba w murze fortecznym absolutyzmu, szczerba, którą łatwiej się już będzie rozszerzało, aniżeli dążyło do zasklepienia. Życzyć wypada, aby tylko należy dla dobra cywilizacyi i dla wytworzenia ludzkich stosunków na olbrzymich obszarach caratu, żeby Mikołaj II zatwierdził ten projekt konstytucyi Plehwego.

W Filharmonii berlińskiej zapowiedziano na 21 b. m. — jak donosi *Dziennik berliński* — koncert kompozytorski rodaka naszego, p. Mieczysława Karłowicza, mało znanego dotąd ogółowi kompozytora.

Katastrofa kolejowa wydarzyła się pod Katowicami. Według doniesienia *Berliner Tageblatt*, w piątek wieczór spadł z mostu kolejowego pociąg towarowy, przyczem zginął cały personal służbowy.

Perfumowane jabłka. Na nowe oszustwo wpadli handlarze jabłek. Mianowicie zastrzykują oni eter w jabłka zwykłe gatunku, wskutek czego owoce te wydają woń jabłczaną bardzo pożądaną, jaką wydają jabłka w najlepszych gatunkach. Gospodynie chętnie nabywają na rynku takie perfumowane jabłka, w domu jednak przekonywują się, że jabłka te nie do użycia, lub też bardzo popsute i bezwonne.

Zmarli. Floryan br. Gostkowski, długoletni marszałek powiatu brzeskiego, zmarł dnia 10 b. m. w Łuckiewiczach.

Stan powietrza. T. o g. 6 rano + 8. w poł. + 5 R. Bar. 760. Spada. Pochmurno.

Przyczyna.
— Nareszcie musimy się do nich wybrać. Tak często nas zapraszają, a my nigdy u nich nie bywamy.
— Właśnie dlatego nas często zapraszają.

Szyld małego jubilera.
„Wyroby prawdziwych imitacyj".

Wykład fizyki dla dzieci.
Woda jest to płyn bezbarwny, który się robi brudnym, jak w niego włożyć ręce.

Repertuar teatru miejskiego we Lwowie. Dziś „Fra-Diavolo" opera w 3 aktach Aubera. — Jutro „Mignon".

Repertuar Filharmonii lwowskiej. Dziś „Wielki koncert filharmoniczny" ze współudziałem Jana Kubelika, skrzypka. — W sobotę „Wielki koncert filharmoniczny" ze współudziałem Jana Kubelika, skrzypka. Program: I. 1) Moniuszko: Uwertura „Bajka". 2) Liszt: Poemat symfoniczny „Skarga bohatera". 3) Mozart: Koncert, odegra z tow. ork. Jan Kubelik. — II. 1) Grieg: „Peer Gynt". Ze Suity II: a) Taniec arabski, b) Pieśń Solwejgi. 2) a) Chopin: „Nocturn", b) Sarasate: „Tańce cygańskie", odegra Jan Kubelik. — III. 1) Żarębski: „Dwa tańce galicyjskie". 2) Paganini: „Nel cor piu non mi sento," odegra Jan Kubelik. Początek wyjątkowo o godz. ¹/₂7 wieczorem.—W niedzielę koncert popularny. Solista-koncertmistrz: Wacław Huml.

Literatura i sztuka.

III Koncert Towarzystwa muzycznego odbył się wczoraj w sali Domu Narodnego przy licznym udziale publiczności. Wykonano same utwory krótkie, a będące bez wyjątku nowościami dla szerszego koła melomanów lwowskich. Na wstępie odegrano Mendelssohna „Wstęp do Antygony Sofoklesa"; w utworze tym kompozytor zamierzył w muzyce symfonicznej przedstawić tragedyę grecką, ze słodyczą melodyi, malujących postać bohaterki tytułowej i tworzy całość bardzo piękną.

Następnie dwie kompozycye p. Berzonsa: [illegible]

Z kolei wykonano scenę z 3-go aktu Wagnerowskiego „Zmierzchu bogów", mianowicie „śpiew syren rzecznych" (*Rheintöchter*). Jako solistki wystąpiły panie: Floriani, Rudnerowa i Aleksandra Dąbrowska. Wykonanie, jakkolwiek może nie we wszystkiem zadowoliłoby wielbicieli Wagnera, którzy żądają dla mistrza swego wszystkiego w stopniu najwyższym i najwykwintniejszym, jednak było dobre i sprawiło bardzo dodatnie wrażenie.

Zakończyła balada Brucha „Piękna Ellen" na sola (p. Dąbrowska i p. Okoński), chór mięszany i orkiestrę — rzecz nader interesująca i miejscami bardzo melodyjna. Wykonano ją starannie i efektownie, a publiczność hucznie oklaskiwała wykonawców i dyrygenta p. Sołtysa.

Głosy publiczności.

Towarzystwo św. Salomei filia św. Mikołaja składa serdeczne podziękowanie tym pp. ofiarodawcom, którzy przyczynili się do obdarzenia ubogiej dziatwy na gwiazdkę, mianowicie pp. Stachiewiczowi i Abrysowskiemu, Kuszczakowi i Zubikowi, Sołtysowi i Mieszkowskiemu, Krzysztofowiczowi, Ludwigowi, Bajerowi, Korneckiemu, Drexlerowi, Gütlerowi, Neuweltowi, Starkowi, Sznapikowej, Münzerowej, Papierowej, Frenklowej i w. i.

Część ekonomiczna.

Wiedeń 10 lutego.

(Z.) Dzisiejsza debata w Radzie państwa nad przedłożeniem konwersyjnem zdaje się nie pozostawiać żadnej wątpliwości co do tego, na jaki procent skonwertowaną zostanie renta wspólna. Z wyjątkiem bowiem reprezentanta Koła polskiego, który domagał się konwersyi na niższy procent niż 4%, niemal wszyscy inni mówcy oświadczyli się za konwersyą na 4%. W szczególności przemawiali gorąco za 4-procentową konwersyą młodoczesi Kaftan i Fiedler, liberał niemiecki Menger, ludowiec niemiecki Prade, antysemita Axmann, a nawet przedstawiciele Kroatów i Słoweńców pp. Bianchini i Ploj. Minister finansów p. Böhm-Bawerk wziął także udział w debacie, a jakkolwiek nie oświadczył się wyraźnie ani za 4%, ani też za niższym procentem, to jednak pośrednio dał do poznania, że i on jest za konwersyą na 4%. Mianowicie rzekł on, że zdaniem jego należy przeprowadzić operacyę konwersyjną tak, ażeby ona nie wywołała daleko sięgających przewrotów w stanie posiadania rent państwowych, ani w dochodach ich posiadaczy. Jest to niemal całkiem wyraźne stwierdzenie, że rząd boi się możliwych następstw konwersyi na procent niższy niż 4%. Jakoż giełda liczy się już z 4-procentową konwersyą, jako z rzeczą prawie postanowioną. W ostatniej chwili wyłoniła się myśl urządzenia tak zwanej alternatywnej konwersyi, polegającej na tem, że posiadaczom renty wspólnej pozostawia się do wyboru: albo przestemplowanie ich obligów z $4^2/_{10}$ na 4%, albo wymianę ich na nowe $3^3/_4$-procentowe obligi, których przez lat dziesięć nie będzie wolno konwertować, albo też zwrot kapitału w gotówce.

Ta alternatywna konwersya stanowiła dziś przedmiot bardzo ożywionej dyskusyi na giełdzie, z której to dyskusyi można było odnieść wrażenie, że wytrawni finansiści nie zapalają się do tego projektu, gdyż uważają taką konwersyę za zbyt skomplikowaną i nie sądzą, aby gładkie jej przeprowadzenie było rzeczą łatwą. Ostateczna decyzya w pełnej Izbie zapadnie we czwartek, a w kilka dni później ogłoszony zostanie prospekt konwersyi. Najprawdopodobniej sposób jej przeprowadzenia będzie taki: Właściciele renty wspólnej będą mieli tylko dwie alternatywy: albo zgodzić się na przestemplowanie ich obligów z $4^2/_{10}$ na 4%, albo też odebrać swój kapitał w gotówce, przyczem naturalnie stracą około 1%, gdyż dzisiejszy kurs giełdowy renty wspólnej wynosi 100·95 do 101·15, a oni otrzymają tylko 100.

Fundusze potrzebne na zwrot kapitału tym posiadaczom renty wspólnej, którzy nie zgodzą się na obcięcie procentu na 4%, zebrane zostaną przez emisyę nowych $3^3/_4$-procentowych obligów, które puszczone zostaną w obieg prawdopodobnie po kursie 98 za 100. Owóż od tego, ilu posiadaczy renty wspólnej zażąda zwrotu kapitału w gotówce, zależeć będzie, jaka suma nowych $3^3/_4$%-procentowych obligów państwowych pojawi się na targu. Możliwem jest, że będzie to suma tak mała, iż te nowe obligi nie będą odgrywały żadnej roli, bądź co bądź jednak kurs ich będzie notowany na giełdzie, a już to samo nie pozostanie bez wpływu na kurs innych papierów lokacyjnych. Dla banków korzystniej byłoby, aby państwo wypuściło jak najwięcej tych obligów nowego typu, gdyż za ich spieniężenie otrzymają one sowitą prowizyę, podczas gdy za pośrednictwo w przestemplowaniu obligów z $4^2/_{10}$ na 4% bardzo niewielkiego wynagrodzenia spodziewać się mogą. Na każdy sposób odbywa się już teraz w tutejszym świecie bankowym pewnego rodzaju mobilizacya konwersyjna, a instytucye należące do grupy Rotszyldowskiej łączą się z owymi pięcioma bankami, które zawiązały niedawno nową grupę (t. j. Unionbank, Bankverein, Länderbank, Anglobank i dolno-austryackie Towarzystwo eskontowe) w spółkę, która nosić będzie nazwę „konsorcyum austryackiego". Kierownicy banków wchodzących w skład tego konsorcyum układają właśnie klucz, według którego instytucye ich dzielić się mają zyskiem z konwersyi. Taki podział zysku odbywał się już podczas ostatniej konwersyi w r. 1893, ale wówczas lwią jego część zagarnęła grupa Rotszyldowska, gdyż sobie wzięła 80%, a wszystkim innym bankom nie należącym do grupy dała 20%, zdaje się, że obecnie banki stojące po za grupą otrzymają większy udział.

Ostatnie notowania:

Akcye austr. Zakł. kredyt. 696·00, węg. Zakł. kredyt. 749·50, Anglobanku 277·00, Unionbanku 548·00, Länderbanku 411.25, Bankvereinu 484·00, Bodencredit 956·00, Gal. Banku hip. 542·00, Statsbahny 697·00, Lombardy 55·75, Kol. Elbethal 454·00, Północnej 0000, Czerniowieckiej 000·00, Alpiny 396·00, Rima Muranyi 491·00, Praskiego Tow. żel. 1655, Fabryki broni 342·00, Tureckie tytoniow. 345·25, Oblig. węg. indemniz. 99·60, Renta majowa 101·00. Austr. renta koronowa 101·35, Węgier. renta koronowa 99·55, 56-letnie Listy Tow. kredyt. ziem. 98·40, 4% Listy Banku krajow. 99·50, $4^1/_2$% Listy Banku krajow. 103·00, 4% Listy Banku hipotecznego 98·80, $4^1/_2$% Listy Banku hip. 102·00, 5% Listy Banku hipotecz. 111·00, 4% Gal. Oblig. propin. 99·90, 4% Gal. poż. kraj. z r. 1893 99·95, 4% Poż. m. Lwowa 97·35, Losy turec. 120·00, Marki 117·10. Ruble 252·75.

§ **Zniżenie stopy procentowej w Niemczech.** Z Berlina donoszą telegraficznie, że niemiecki Bank państwowy zniżył wczoraj stopę procentową od eskontu weksli z 4 na $3^1/_2$, a od lombardu z 5 na $4^1/_2$%.

§ **Z kolei.** Z dniem 25 stycznia b. r. został otwartym na przestrzeni Praga-Mołdawa pomiędzy stacyami Hopnim Litwinowem i Osekem-Riesenbergem przy km. $133^8/_9$ w obrębie c. k. Dyrekcyi kolei państwowych w Pradze przystanek osobowy Bruch dla ruchu osobowego i pakunkowego. Bilety jazdy wydaje się na przystanku. Przewóz pakunków odbywa się za opłatą należytości w stacyi odbiorczej.

Przystanek Kuchelbad (Chuchle) na szlaku c. k. kolei państwowych Smichów-Pilzno, urządzony dotychczas tylko dla ruchu osobowego i pakunkowego, zostaje z dniem 1 lutego 1903 otwartym także i dla ruchu przesyłek pospiesznych wagi najwyżej do 50 kg. od każdej sztuki.

TELEGRAMY „PRZEGLĄDU".

(*Depesze poranne*).

Budapeszt 12 lutego. Wczorajsze posiedzenie sejmu węgierskiego spełzło prawie na niczem skutkiem obstrukcyjnej taktyki opozycyi. Pod koniec posiedzenia dep. Lengyel zainterpelował prezydenta ministrów, czy wie o tem, że Cesarz na obiedzie dworskim wyraził pochwałę tym posłom, którzy głosowali za przedłożeniem wojskowem i czy przyjmuje odpowiedzialność za to niekonstytucyjne wmieszanie się Korony do walk partyjnych. Prezydent ministrów Szell odpowiedział natychmiast, że interpelant czerpie swe informacye z dzienników, a nie z oficyalnych komunikatów, których o obiadach dworskich się nie wydaje. Mówca nie wie, o czem Cesarz rozmawiał z posłami, wie jednak, że rozmawiał z nimi jako ze swoimi gośćmi, a to mu chyba wolno.

Berlin 12 lutego. W ciągu wczorajszego posiedzenia parlamentu niemieckiego minister Posadowsky oświadczył, że na następnej sesyi rząd przedłoży memoryał w sprawie mieszkań ubogiej ludności, podnosząc, że większość proletaryatu podniosła się do stanu średniego i że płace ludności robotniczej znacznie wzrosły. Odnosi się to również do Górnego Szląska. Co do noweli w sprawie Kas chorych, to Rada związkowa poweźmie w tej sprawie odpowiednią uchwałę. P. Pasch (nar. lib.) zwalczał przekonanie, jakoby jedynie socyalni demokraci zajmowali się wydatną pracą na polu socyalno-politycznem.

Paryż 12 lutego. Przed trybunałem karno-policyjnym rozpoczął się wczoraj przy tłumnym udziale publiczności proces o oszczerstwo wszczęty przez bankiera Cattaniego przeciw Fryderykowi i Teresie Humbertom, oraz Maryanowi Daurignacowi.

Praga 12 lutego. W sprawozdaniu tutejszej izby handlowej i przemysłowej powiedziano, że wskutek zajść we Wrześni postanowiono w Królestwie bojkotować firmy w cesarstwie niemieckiem, co skłoniło czeskie firmy eksportowe do skorzystania z tego na rzecz exportu czeskiego. Możemy z radością stwierdzić — powiada sprawozdanie — że te usiłowania przyniosły pomyślne wyniki.

Konstantynopol 12 lutego. Nadeszła tu wczoraj wiadomość, że na angielski okręt „Haryer" napadli koło wyspy Kulaki piraci. Anglicy ujęli 60 piratów. Angielski konsul wniósł do Porty protest, żądający ukarania rozbójników.

Karakas 12 lutego. „Biuro Reutera" donosi, że tutejszy konsul wenecuelski zażądał usunięcia niemieckiego okrętu wojennego „Restaurator", powołując się na międzynarodowe prawo i zaprotestował przeciw temu, aby Niemcy uważali Karakas za podstawę do zaprowiantowywania się.

Kijów 12 lutego. Odbyło się tu zgromadzenie właścicieli cukrowni, celem rozwiązania syndykatu dla podniesienia cen cukru, względnie utrzymania w dotychczasowej wysokości.

Sofia 12 lutego. W tutejszych kołach politycznych sądzą, że jeżeli Turcya nie zaniecha koncentracyi wojsk nad granicą bułgarską, to w takim razie będzie musiała nastąpić częściowa mobilizacya armii bułgarskiej. Prawdopodobnie użyte do tego zostaną dwie dywizye: sofijska i filipopolska.

Sofia 12 lutego. Bułgarska Ajencya telegraficzna zapewnia, że nieprawdziwe są pogłoski o nieporozumieniach pomiędzy ks. Ferdynandem a rosyjskim ajentem dyplomatycznym. Powołany przez swój rząd rosyjski ajent telegraficzny wyjechał na kilka dni, lecz wkrótce powróci.

Sofia 12 lutego. Obiega pogłoska, że rząd z powodu wzrastającego ruchu macedońskiego zamierza w kilku okręgach ogłosić stan oblężenia.

(*Depesze popołudniowe*).

Wiedeń 12 lutego. Cesarz przeznaczył na pogorzelców w Kutach 8.000 koron z prywatnej szkatuły.

Karłowice 12 lutego. Królestwo serbscy przybyli tu wczoraj popołudniu, poczem powozem udali się do klasztoru kruszedolskiego. Tam modlili się przy trumnie Milana i złożyli wieńce. Podczas odjazdu prosił król bana, aby wyraził Cesarzowi austryackiemu podziękowanie za przyjęcie i nadzieję, że odwiedziny te zacieśnią jeszcze bardziej stosunki między Austro-Węgrami a Serbią.

Kraków 12 lutego. Woda na Wiśle wskutek ostatnich deszczów przybiera. Stan wody 1 m. 80 cm. nad zerem. Dziś pada dalej rzęsisty deszcz.

Paryż 12 lutego. Przesłuchiwana wczoraj w procesie bankieru Cattanie'go Teresa Humbert oświadczyła, że Cattani był przyczyną całego ich nieszczęścia i przytoczyła liczne wypadki na dowód swego twierdzenia. W tym samym duchu zeznawał Fryderyk Humbert, uderzając w ostrych słowach na Cattani'ego i zięcia jego. Obwiniał przytem różne polityczne osobistości. Następnie usiłował przedstawić postępowanie byłego adwokata a obecnego ministra sprawiedliwości Vallé jako karygodne. Przewodniczący przerwał mu w energiczny sposób. Teresa Humbert: Pozostaw to do głównego procesu, wówczas opowiemy wiele interesujących rzeczy. — Fryderyk Humbert twierdził, że pobyt ich w Madrycie nigdy nie był tajemnicą, lecz w wyższych sferach wiedziano o nim. — Przewodniczący ponownie przerywa świadkowi.

Przesłuchiwano następnie komisarza, prowadzącego konkurs Humbertów, Linole, który udzielił technicznych wyjaśnień o operacyach Humbertów. Przesłuchiwano z kolei rzeczoznawców. Przyszło do ostrego starcia między prawnym zastępcą Cattaniego a Humbertami. Teresa H. ponownie oświadczyła, że najważniejsze zeznania zachowa do głównego procesu, jakkolwiek „tak ją korci wyjawić to, że ledwie może wytrzymać".

Rettinger, zięć Cattaniego zeznał, że Teresa H. zażądała od Cattaniego 2 milionów franków za wstrzymanie śledztwa sądowego, które toczyło się przeciw Cattaniemu. Teresa wówczas zapewniała, że sędziowie mniejszą sumą się nie zadowolą.

Roman Daurignac zaprzecza temu. Cattani sam prosił Teresę, aby go ratowała. Wywiązała się dłuższa wymiana zdań, w czasie tego Retinger zauważył, że Teresa H. chciała córkę swą Ewę wydać za pewną polityczną osobistość. — Teresa H. zakazuje mięszać córkę do tej sprawy. — Dalszy ciąg rozprawy dzisiaj.

Humbertowie zachowywali się z wielkim humorem; przy wejściu do sali Fryderyk H. ściskał w najczulszy sposób Teresę.

Rada państwa.

Wiedeń 12 lutego. Z sądu krajowego we Lwowie nadeszło żądanie wydania posła Breitera. Między odczytanemi interpelacyami jest interpelacya p. Eisenkolba i tow. (wszechniemcy) do prezydenta ministrów w sprawie przygotowywanej w Serbii i Bułgaryi mobilizacyi i z powodu grożącego zawikłania Austro-Węgier w wojnę, wobec stosunków, panujących w Macedonii. Interpelanci wywodzą, że wszystko wskazuje na to, iż w Macedonii wybuchnie w najbliższym czasie wielkie powstanie. Istnieje uzasadnione podejrzenie, że powstanie to zainicyowane jest przez Austryę, a mianowicie ze strony bardzo możnych stronnictw, na których czele stoi minister spraw zagranicznych hr. Gołuchowski. Ten mąż, który tak jak ojciec jego na bankiecie polskiej szlachty w r. 1868 oświadczył, że został przez Jezuitów wychowany na patryotycznego Polaka, jest osobiście spowinowacony z polską szlachtą, a przez swą małżonkę z francuską, wysoką szlachtą kierunku legitymistycznego i bonapartystycznego. Łączą się więc w jego osobie wpływy wszystkich tych niebezpiecznych elementów, które usiłują sprowadzić wielki przewrót dla osiągnięcia swych egoistycznych celów, wrogich dla ludów.

Ten cel obejmuje także odbudowanie Polski. Jezuici są zausznikami hr. Gołuchowskiego. Chodzi im nie o zabezpieczenie swobodnego rozwoju polskiego narodu, co przecież w Austryi i tak już na niekorzyść innych narodów wychodzi, ale o zapewnienie panowania szlachty i klerykalizmu. Panowanie szlachty i Jezuitów ma się rozciągać od morza Bałtyckiego do Czarnego. Temu celowi służy w Austryi „bezwstydnie uprawiana wszechpolska i wszechsłowiańska propaganda". Mamyż także stać się zawisłymi od szlachty polskiej? Czy jest to słusznem, aby dla odbudowania Polski Austro-Węgry dały się zapędzić w wojnę? Albowiem to nic innego nie może oznaczać, jak wojnę, jeśli Austro-Węgry powzięły inicyatywę i Rosyę skłoniły do tego, że świeżo zagroziły razem Turcyi wmięszaniem się w jej wewnętrzne sprawy, jeśli Turcya nie przeprowadzi reform.

Ponieważ Austrya nie może wierzyć, że Turcya będzie w stanie przeszkodzić wznowieniu powstania w Macedonii, należy przyjąć, że stawianie tych niemożliwych do spełnienia żądań ma być tylko pretekstem do osiągnięcia jakichś specyalnych celów.

Ciekawem jest także stanowisko Anglii, która wyzyskuje to szaleństwo obecnej polityki austro-węgierskiej dla swoich egoistycznych celów, i podburza Austro-Węgry do wytrwania na tej drodze. Temi wszystkiemi machinacyami kieruje Watykan za pośrednictwem generała zakonu Jezuitów. Austrya zbroi się w sposób, bijący wszystkich w oczy. Zwracają także uwagę nadzwyczaj częste narady wojenne pod przewodnictwem najwyższego czynnika. Wobec takich okoliczności, ponieważ chodzi o dobro wszystkich narodów tego państwa, żądają interpelanci od prezydenta ministrów wyjaśnień w sprawie położenia międzynarodowego.

Po odczytaniu interpelacyj i wniosków przewodniczący komisyi budżetowej Kathrein wnosi o natychmiastowe podjęcie obrad nad przedłożeniem o konwersyi. Ellenbogen (socyalista) oświadcza, że jego stronnictwo nie jest przeciwne nagłości tego przedłożenia, podnosi jednakże już teraz, że w razie, gdyby przy przedłożeniu wojskowem chciano tą samą drogą nagłości postąpić, stronnictwo mówcy już teraz przeciw temu się zastrzega i zapewnia, że potrafi temu przeszkodzić. Co do konwersyi jest stronnictwo mówcy za przedłożeniem, jak wogóle za każdą ustawą, która ma umniejszyć ludności ciężarów. Mówca ubolewa, że to, co minister skarbu w komisyi budżetowej poufnie wyjaśniał, zostało jeszcze przedtem w *N. Freie Presse* we wczorajszem wieczornem wydaniu ogłoszone. Zapytuje, dlaczego właśnie z konwersyi wyłączono sumę 1 miliarda 600 milionów.

Izba nagłość przedłożenia o konwersyi uchwaliła. Referował Steinwender.

Następnie przemawiał Menger.

Wiedeń 12 lutego. Przed przyjściem do porządku dziennego wniósł Choc ogłoszenie obrad komisyi regulaminowej za jawne. Wniosek ten 82 głosami przeciw 73 odrzucono. (Głośne protesty u czeskich radykałów, socyalistów i Wszechniemców).

Wiedeń 12 lutego. Referent Steinwender polecał przyjęcie przedłożenia rządowego w niezmienionej formie wraz z rezolucyą Eug. Abrahamowicza w sprawie zniżenia stopy procentowej od zaległości podatkowych i należytości.

Wiedeń 12 lutego. (Giełda towarowa). Cukier 21·70 (stale). Spirytus 38·60 (ustalony). zmiany). Nafta niezmieniona.

Berlin 12 lutego. (Zamknięcie giełdy). (Podług obliczenia procentowego). Banknoty austryackie 85·35. Spirytus 00·00.

Paryż 12 lutego. (Zamknięcie giełdy) Trzyprocent. renta 100·02 Mąka („Fleur de Paris") 81·35.

Frankfurt 12 lutego. (Giełda zagraniczna). Kredyty austryackie 219·90. Koleje państwowe 000·00 exclusive kupon. Alpiny 000·00. Disconto 000·00. Laura 197·80.

Wiedeń 12 lutego. Kursa giełdowe.

Losy: a) procentowe:

Austr. zakł. kr. z obl. pr. z r. 1880	3%	268·75
„ „ „ „ „ 1889	3%	265·25
Tow. żegl. na Dunaju 100 zł. m. k.	4%	00·00
Uregulow. Dunaju z r. 1880 100 z.	5%	283.—
Węg. Banku hipotecznego po 100 zł.	4%	260·00
Pożyczka serbska prem. po 100 fr.	2%	87·75
Tureckie obl. prem. kolej po 400 fr.		119.25

b) bezprocentowe:

Budapeszteńskie (Basilica) 5 zł. 19.50, Zakł kred. dla h. i p. po 100 zł. 434·00, Clary 40 zł. m. k. 182·00, Pożyczka m. Insbruku 20 zł. 86.00, Losy m. Krakowa 20 zł. 73.00. Pożyczka m. Lublany 20 zł. 73.00, Ofen 40 zł. 180·00, Palffy 40 zł. m. k 179.50, Czerw. krzyża-austr 10 zł. 55·60, Czerw. krzyża węg. 5 zł. 28.25, Losy fund. arcyks. Rudolfa 10 zł. 74.—, Salma 40 zł. m. k. 230.—, Pożyczka salcburska 20 zł 74.—, Pożyczka St. Genois 40 zł. m. k. 250.00, Losy komunalne m. Wiednia r. 1874 439.—.

Lwów 12 lutego. (Z izby handlowej).

Obliczenie w walucie koronowej.

Akcye za 100 K.: Kolej gal. Karola Ludwika po 420 Koron —.— do —·—. Kolej Lwowsko-Czern.-Jaska po 400 kor. 588.— do 591.—. Banku hipotecznego po 400 kor. 540·00 do 550·00. Akcye garbarni w Rzeszowie po 400 kor. —·— do —·—. Tow. budowy wagonów w Sanoku po 500 koron —·— do 350·—. Banku dla handlu i przemysłu po 400 k. 400·— do 420·—.

Listy zastawne za sztukę: Banku hipot. galic. 5 proc. los. w 50 lat. z 10 proc. prem. 111·— do 000.00 4 i pół proc. los. w 50 lat 101·00 do 000·00, 4 proc. los. w 60 lat 98.00 do —·00. Banku kraj. 4 i pół proc. los w 51 lat 102·50 do 103·20. Banku kraj. 4 proc. los w 57 lat 99·80 do 100·00.—Tow. kred. Gal. ziemskie 4 proc. (I emisya) 98·20 do 00·00, 4 proc. los w 41 i pół latach 98·40 do —·—, 4 proc. los w 56 lat 98·20 do 98·90.

Obligi za sztukę: Gal. fund. propinacyjnego 4 pro. 99.60— 100.30. Bukowińskiego fund. propin. 5 proc. 108·50 do —·—. Kom. Banku kraj. 5 proc. (II emisyi) 102·70 do —·—. Kolejowe lokalne Banku krajowego 4 procentowe po 200 koron 99·20 do 000.00. Pożyczki kraj. z r. 1873 proc. —·— do —·— 4 proc. z 1893 r. 99·70 do 00·00, miasta Lwowa 4 proc. po 200 koron 96·50 do 00·00, $4^1/_2$% po 200 koron 101·50 do 000·00.

Monety. Dukat cesarski 11·26 do 11·40. Napoleondor 19·00 do 19·20. Rubel rosyjski papierowy 252·00 do 254·00. 100 marek niemieckich 117·00 do 117·60.

Giełda południowa (godzina 12 minut 30) Wiedeń 12 lutego.

Marki 117·15, renta majowa 101·10, węg. renta koronowa 99·55, Akcye: austr. zakł. kredyt. 694·50, węg. zak. kred. 747·00, anglobanku 277·50, unionbanku 549·00, bankvereinu 483·00, länderbanku 409·50, kolei państw. 695·00, lombardy 56·00, akcye kolei Elbethal 455.00, fabryki broni 000·00, tytoniowe 346·50, alpiny 394.50, Rima Muranyi 490·50, pragskiego Tow. żel. 1·660, losy tureckie 119·00, ruble 253·00. Usposob. spokojne.

Ruch pociągów kolejowych

ważny od 1go maja 1902 roku według czasu środkowo-europejskiego.

Przychodzą do Lwowa:

Z Krakowa: **2.31***, **1·35**, **8·40***, 6·10, 8·50, 5·50 i 9.50*
Z Rzeszowa: 10·25.
Z Podwołoczysk (na dworzec główny): **2·35**, 8·00, 5·35 10·20*; na Podzamcze: **2·20**, 7·40, 5·11, 10·03*.
Z Tarnopola: 8.35* (na dw. gł.); 8·14* na Podzamcze.
Z Czerniowiec: **12·15***, **1·45**, 6·20, 5·40 i 9·20*.
Ze Stanisławowa: 11·55.
Ze Stryja: 8·10, 1·10, 4·40, 10·50*.
Z Janowa 7·45, 1·28, 9·25*, 10·08*.

Odchodzą ze Lwowa:

Do Krakowa **12·45***, **8·30**, **2·55**, 4·15*, 8·40, 6·30*, 11·00*
Do Rzeszowa: 8·30.
Do Przemyśla: 8·25*.
Do Podwołoczysk z dworca głównego: **1·55**, 6·30, 9·00* 11·10*; z Podzamcza: **2·09**, 6·48, 9·20*, 11·32*.
Do Tarnopola: 10·40 z dw. głównego i 10·57 z Podzamcza
Do Czerniowiec: **2·51***, **2·40**, 6·25, 10·30, 10·30*.
Do Stanisławowa: 6·10*.
Do Stryja: 6·35, 9·00, 3·05, 6·35*.
Do Janowa: 9·15, 1·25, 3·15 6·30*, 10·05*

Uwaga. Pociągi pośpieszne drukowane są literami tłustemi, pociągi nocne oznaczone są gwiazdką. Pora nocna liczy się od godz. 6 wieczór do 5 min. 59 rano.

53)

AMERYKANKI.

(Przekład z francuskiego.)

(Ciąg dalszy).

Kapłan powitał gościa sztywnem pochyleniem głowy, ze spokojem i wyniosłością, potem w milczeniu wskazał jej ręką siedzenie, a sam usiadł w fotelu z wysokiemi poręczami przy stoliku, na którym wśród wielu papierów zauważyła zżółkły rulon pergaminu.

Żaden monarcha nie mógłby tak silnie zaimponować Helenie, jak cicha, sztywna, biała, tajemnicza postać indyjskiego kapłana. Wydał jej się tu więcej jeszcze majestatycznym, niż w Bodinière na scenie, i tak wysoko ponad ludźmi i namiętnościami, że wobec tej powagi i wielkości jej ziemska miłość wydała się nagle małą, nędzną i śmieszną. Nigdy w życiu nie ośmieliłaby się o niej mówić. O, gdyby można uciec! Ale trzeba coś powiedzieć: nie ma ratunku! Obycie światowe przyszło jej w tem z pomocą.

— Byłam wczoraj na pańskiej konferencyi— rzekła niepewnym głosem i z sercem bijącem— i zajęła mnie żywo... Jestem Amerykanką z Nowego Jorku, i wszelkie zjawiska psychiczne zajmują nas tam bardzo. Na nieszczęście, bywają często oszukaństwem. Uwodzą nas nieraz zręczni prestydygitatorowie... Chciałam się więc dowiedzieć: czy magnetyzm, suggestya, hypnotyzm są siłami naturalnemi, czy nadprzyrodzonemi?

Długą drogą dążyła Helena do celu, prawdziwie, jak kobieta.

— Są to siły naturalne — odparł bramin bez wahania — najszlachetniejsze z władz człowieka, ale zdobycie ich i rozwój nie są łatwe. Aby stać się magnetyzerem rzeczywistym, trzeba wieść życie czyste i surowe, ćwiczyć wolę i mieć zdrowie doskonałe. Księża po większej części, często nie wiedząc o tem, zdobywają dar suggestyi: to tajemnica ich wpływu. Święci posiadali go w wysokim stopniu i za pomocą tej siły leczyli ciało i duszę, dokonywali cudów.

— Tak, tak, to to być musi! — zawołała z ożywieniem pani Ronald. — Wczoraj, słuchając pana, uczułam się podniesioną, pragnienie dobra zbudziło się we mnie.

W oczach bramina zajaśniała radość.

— Szczęśliwy jestem, że ten wpływ wywarłem — rzekł z powagą i prostotą.

— Zrozumiałam, że masz pan siłę prawdziwego mistrza, i za radą p. Blois przyszłam prosić o pomoc...

— W czem?

Helena zaczerwieniła się nagle, oczy jej zamigotały niespokojnie, usta skurczyły się ruchem nerwowym. Pragnęła znowu uciec.

— Mów! — rzekł bramin z nakazującą słodyczą...

— A więc... Pragnę być wyleczona z nieszczęśliwej miłości, która mi psuje życie, robi mnie złą... jest straszną... — dokończyła prawie szorstko pani Ronald głosem nerwowym, który świadczył o jej cierpieniu. — Myślę, że możesz mi pan w tem dopomódz... Ale może to dziwne, może...

Spojrzała na kapłana prawie z trwogą:

— A może pan przypuszcza, że jestem waryatką?

— Przeciwnie — odparł — uważam to za krok rozumny.

— O, tem lepiej! — szepnęła z głębokiem westchnieniem ulgi.—Bo ja wiem — znów zaczęła — że miłość to płyn tylko, rodzaj eteru, jak światło...

— Wiesz o tem? — zawołał kapłan z wyrazem zdumienia, które na chwilę zakłóciło spokój tej niewzruszonej twarzy.

— Powiedział mi to raz pewien uczony, ale śmiałam się wtedy. Teraz wiem, przekonana jestem, że to prawda.

— Prawda — potwierdził Hindus. — Uczeni miewają natchnienia. Taki człowiek jest medyum Bożem. Odkrycie następuje w czasie oznaczonym, ale oni przeczuwają je niekiedy. Niedaleka godzina, kiedy zaczną miłość studyować naukowo. Jest to jeden z wielkich fluidów natury, który obiega ludzkość, niosąc ból, życie i radość.

— O tak, tak! — powtarzała pani Ronald.— I zdaje mi się, że siła duchowa powinna mieć przewagę nad tym działaczem ślepym.

— Sił ślepych nie ma — zauważył bramin— są tylko ludzie zaślepieni.

— Być może... Słowem, wczoraj powiedziałam sobie, że pan może dać inny kierunek moim myślom, zetrzeć z duszy pewne wspomnienia, uwolnić mnie od ucisku, z którym walczę nadaremnie — mówiła Helena z pewnem rozdrażnieniem. — Skoro jest w pańskiej mocy stwarzać łączność pomiędzy jednostkami, tem łatwiej być powinno tę łączność rozrywać!

Kapłan się nie uśmiechnął.

— Mogę to — odparł z zupełnym spokojem.

— Więc mnie uwolnij! — szepnęła błagalnie.

— Do jakiego pani należy wyznania?

— Jestem katoliczką; zmieniłam religię.

— Tem lepiej. To wielki krok naprzód na drodze uduchowienia. Czy masz silną wolę i szczerą chęć odzyskania spokoju?

— Czy mam?... O, pan nie możesz wiedzieć, jaką męką jest miłość bez nadziei. To gorsze stokroć od fizycznego cierpienia!

Po bronzowej twarzy bramina przemknęła jakby fala uczuć ludzkich, nadając jej szczególny wyraz. Był to słaby odblask czegoś dalekiego i trwał tylko mgnienie oka. Nagle zwrócił na panią Ronald wzrok, który zdawał się nie widzieć jej piękności, ani barwy włosów, ale przenikać czaszkę i sięgać aż do głębi duszy.

— Ta próba, którą przeszłaś, jest dobrą dla ciebie — rzekł zwolna i łagodnie — rozwinęła ona i podniosła twego ducha, poskromiła próżność i lekkość światową. Ponieważ przyszłaś tutaj, znaczy, że czas skończyć. Mogę to zrobić. Odwrócę twe serce ku dobru, ku cierpieniu, ku małym i słabym i miłosierdzie stanie się dla ciebie szczęściem. Czy chcesz tego?

— Z całej duszy!

Wtedy Cetteradye podniósł palce, złożone na wzór Buddy i wskazujący i średni oparł na czole Heleny. Zdawał się rosnąć przed nią i podnosić w górę, twarz przybrała wyraz niezwykłej energii i potężnej, skupionej woli; z oczu płynęły mu potoki światła, usta poruszały się lekko i cicho. Pod tem magnetycznem i silnem dotknięciem dusza Heleny drgnęła, niby ptak spłoszony, ogarnęło ją wzruszenie i trwoga, bunt wewnętrzny i opór — potem wszystko ucichło nagle.

— Idź w pokoju! — rzekł bramin.

I ramię jego opadło bezsilne, jak wyczerpane nadludzkim wysiłkiem.

Pani Ronald podniosła się z pewną trudnością. Wstrząśnienie, którego doznała przed chwilą, pozostawiło ślady w jakiemś odurzeniu i upojeniu dziwnem. Oddychała głęboko, jakby przebudzona z długiego snu ciężkiego.

— Dobrze mi — szepnęła.

— Myśl moja i wola zostaną z tobą, póki ci będą potrzebne, aż do uleczenia.

— A skąd pan będziesz wiedział, kiedy to nastąpi?

— Odczuję — rzekł Cetteradye z powagą.

Pani Ronald była Amerykanką, więc w takiej chwili nawet nie zapomniała, że kapłan, równie jak doktor, musi żyć ze swojej wiedzy, pierwszy raz w życiu jednak czuła się zakłopotaną, nie wiedząc, w jaki sposób zapłacić należność. Nerwowym ruchem obracała w ręku maleńki pugilares, wreszcie wysunęła kopertę, w której umieściła przed wyjściem pięćset franków i położyła ją nieśmiało na stoliku.

— Na dobre uczynki — rzekła cicho i uprzejmie.

— Tak będą użyte — odparł bramin z lekkiem pochyleniem głowy.

Dotknął dzwonka i Hindus ukazał się znowu, by odprowadzić gościa. Cetteradye podniósł znów w górę dwa palce.

— Niech pokój będzie z tobą dzisiaj i na zawsze!

XXXIV.

Wola bramina cudowną sugestyą oddziałała potężnie na duszę Heleny: myśl jej stała się wolną, a wspomnienia Lela zbladły i straciły nad nią dawną władzę. I nie były to objawy przejściowe; przeciwnie: z biegiem czasu nabierały siły, utrwalały się głębiej pod tajemniczym wpływem. Helena doznawała uczucia zbudzenia się ze snu ciężkiego i witała życie, jak nowe dobro, czuła się znów szczęśliwą poprostu tem, że żyje, że jest młodą i piękną. Oczy jej patrzały jasno i spokojnie, wyraz twarzy stał się pogodnym, a uśmiech porywał naturalną i szczerą wesołością.

Dorze wysłała śliczne toalety i zapytywała ją w liście o syna, czego dotychczas nie miała siły zrobić. Dzisiaj nie kosztowało jej to wcale: zmienił się kierunek jej myśli i uczuć. Jednak na czole pozostało jej wrażenie dotknięcia palców bramina i codziennie w godzinie, kiedy nastąpiła ta łączność między nimi, stawał w pamięci jej i wyobraźni z nadzwyczajną wyrazistością. Czuła wtedy na sobie magnetyczną siłę jego przenikliwego spojrzenia, wewnętrzną walkę, gwałtowne, choć krótkie wzruszenie, a następnie błogość i spokój.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Redaktor odpowiedzialny: **Wacław Masłowski.** Papier z fabryki Czerlańskiej. Z drukarni E. Winiarza.